NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 14 sierpnia 1909. Nr. 33.

Walki na Er Rifie.

(Treść na str. 2).



Nr. 33. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Czesi w Krakowie. — Rewolucya w Barcelonie. — Zgon literata-ziemianina. — Pielgrzymka do Ziemi Świętej. — Cesarz Mikołaj we Francyi. — Polskie Towarzystwo emigracyjne. — Cuda tresury. — Arcyksiążę Leopold Salvator w prowincyach okupowanych. — Murzynka szofferem — i w. i.

Walki na Er Rifie.

Cala Europa zostaje pod wpływem niepokojących wiadomości, jakie nadchodzą z północnej Afryki. Nie dlatego, aby mogły one wprost interesować mocarstwa, lecz z powodu, że wykazują rywalizacyę dwóch przymierzy, w jakie obecnie zgrupowały się państwa europejskie. Stare trójprzymierze — Niemcy, Austro-Węgry i Włochy, znalazło groźnego przeciwnika w innem — w Anglii, Francvi i Rosyi. „Ukoronowany dyplomata“, Edward VII., stojący na czele tego drugiego trójprzymierza, czyni usilne zabiegi,



Walki na Er Rifie: Typ berberyjskiego wojownika.

aby do jego interesów wciągnąć jak najwięcej państw drugorzędnych. I tak, Hiszpania stała się już poniekąd wasalem W. Brytanii, obecnie i na Portugalię spogląda ona pożądliwem okiem.

Natomiast jednak Niemcy, które w Marokku przez swe stosunki handlowe wyrobiły sobie bardzo poważne stanowisko, nie opuszczają ani jednej chwili, aby swym przeciwnikom nie podstawić nogi. Berberowie z Er Rifu nie byliby w możności stawiać się tak ostro wobec Hiszpanów, gdyby nie byli uzbrojeni w pruskie karabiny mauzerowskie.

Podawaliśmy już w ostatnich numerach naszego pisma szereg illustracyi, odnoszących się do wypadków, jakie rozgrywają się w okolicach Melilli, obecnie zaś zamieszczamy interesujące typy tamtejszych tuziemców, kobiet i mężczyzn. Na uwagę zasługuje, że kobieta, chociaż muzułmanka, ma twarz niezasłoniętą. Mężczyzna zaś jest typem ze szczepu Berberów, którzy jeszcze lat ośmdziesiąt temu stanowili postrach zachodniej połaci Śródziemnego morza jako korsarze.

W wysokim stopniu wzruszającym jest moment, który ilustruje nasza rycina tytułowa, a który przed-



Walki na Er Rifie: Artylerya hiszpańska na linii bojowej.



Pielgrzymka do Ziemi Świętej: Pątnicy zebrani w sali krakowskiego „Sokoła“.

stawia żołnierzy, całujących w twarz swego pułkownika, poległego w imię obowiązku. Idą z bronią w ręku także na pole walki, ale ilu z nich powróci?... I tego by uniknęli, gdyby nie przewrotność Prusactwa, które i tam nawet, na pustych wybrzeżach Afryki północnej potrafi mącić wodę. Czy to jest dziełem dymisyonowanego kanclerza, czy jego następcy, dotąd dokładnie nie wiemy. Na dalszej rycinie widać, jak Berberowie rozdzielają pomiędzy siebie karabiny mauzerowskie. Na uwagę zasługują napisy na paczkach, zawierających karabiny i amunicyę: 50 St. M. (50 sztuk Mauzerów), 1000 St. Sp. (1000 sztuk ostrych ładunków) i t. d.

Ostatnia wreszcie bardzo malownicza rycina przedstawia ciekawy moment, gdy artylerya hiszpańska rozwinęła się w linię bojową przeciw nieprzyjacielowi, ukrytemu za naturalnemi fortyfikacyami, utworzonemi przez grzbiety skalne. Pokazuje się z niej,



Walki na Er Rifle: Berberowie rozdzielający pomiędzy siebie broń, przemyconą z zagranicy.



Walki na Er Rifle: Typ kobiety berberyjskiej.

że Hiszpanie nie posiadają dotąd armat najnowszego typu, trzeba je bowiem po każdym strzale naprowadzać na pierwotne miejsce.

Pielgrzymka do Ziemi Świętej.

Jerozolima i jej okolica, ta ziemia święta, gdzie żył, nauczał i męczeńską śmierć poniósł Jezus Chrystus, będą po wieki dla świata chrześcijańskiego miejscami najdroższych i najcenniejszych pamiątek. Nic dziwnego też, że każdego roku, w rozmaitych porach, kierują się tam tłumne pielgrzymki chrześcijan wszelkiej narodowości.

Polacy, którzy zawsze kroczyli na czele ludów



Czesi w Krakowie: Rada miasta Pragi z burmistrzem dr. Groszem (1) w pośrodku i wiceprezydentem Krakowa dr. Szarskim (2). W rzędzie drugim po stronie lewej stoją przedstawiciele lwowskiej rady: dr. Olszewski i Lewicki.

chrześcijańskich i swe uczucia religijne jawnie manifestowali, odwiedzają także bardzo często Ziemię Swiętą, czerpiąc u Grobu Chrystusa sił i mocy do wytrwania w ciężkiej doli.

Także w tym roku wyruszyła do Jerozolimy wielka polska pielgrzymka, zorganizowana przez O. Zygmunta Janickiego z Zakonu Braci Mniejszych. Do udziału w niej zgłosiło się przeszło 450 osób obojga płci ze wszystkich trzech dzielnic polskich Samych księży było w tem przeszło 70.

Z Krakowa, gdzie był punkt zborny, ruszono we wtorek bieżącego tygodnia popołudniu koleją przez Wiedeń do Tryestu, a stamtąd statkiem do Jaffy i dalej do Jerozolimy. Dnia 16 sierpnia stanąć ma pielgrzymka u celu podróży.

Pielgrzymka zorganizowaną była wzorowo. Każdy uczestnik jej otrzymał potrzebne dokumenty oraz drukowany przewodnik, każdy też wiedział naprzód jaknajdokładniej, gdzie i kiedy ma się zgłosić. Przed wyruszeniem w drogę odbyło się w Krakowie, w sali „Sokoła“, ogólne zebranie pątników, gdzie prowadzący wycieczkę, O. Janicki pouczał szczegółowo pątników o szczegółach pielgrzymki.



Czesi w Krakowie: Komitet dla przyjęcia Czechów w Krakowie, z wiceprezydentem Krakowa dr. Szarskim (X) w pośrodku. 1. dr. Schneider. 2. radca Porębski. 3. radca Kosobucki. 4. radca dr. Doboszyński. 5. sekretarz Rosner. 6. Hupczyc. 7. radca ces. Schiller. 8. redaktor Wąsowicz.

Zatarg o Kretę.

Sprawy na półwyspie Bałkańskim i związana z niemi kwestya kreteńska, nie dają już od lat tylu spokoju dyplomacyi europejskiej, tak że przyzwyczaiła się ona poniekąd do nich, że uważała je za bolączkę wprawdzie, ale taką, która nie grozi bezpośredniem niebezpieczeństwem. Tymczasem w ciągu niecałego roku: ogłoszenie Bułgaryi niezawisłem królestwem, aneksya Bośni i Hercogowiny, a wreszcie sprawa uregulowania stosunków wyspy Krety, wykazały dosadnie, na jak kruchych podstawach oparty jest pokój na krańcach Europy.

Szczególniej teraz, gdy po przewrocie politycznym w Turcyi, zbudziła się wśród jej obywateli-muzułmanów pełna świadomość narodowa, nie można przypuścić, aby dobrowolnie zgodzili się na odstąpienie królestwu Greckiemu wyspy Krety, która, bądź jak bądź, stanowi dotąd integralną część państwa Osmanów. Z przeciwnej znów strony zupełnie jest naturalnem, że Grecy kreteńscy pragną za wszelką cenę połączyć się z królestwem Greckiem, ich naturalną, szerszą i wolną ojczyzną.

Na tem tle między Turcyą a Grecyą powstał ostry zatarg i to tem niebezpieczniejszy, ponieważ państwa opiekuńcze — Rosya, Francya, Anglia i Włochy — wycowały swe załogi z Krety w końcu ubiegłego miesiąca.

Turcy grożą wojną na wypadek, gdyby Grecya anektować chciała Kretę. W Atenach zaś uważają obecny moment za najodpowiedniejszy do ogłoszenia władzy króla Jerzego nad tą wyspą. Zatarg ten mógłby skończyć się bardzo smutno, gdyby nie usiłowania mocarstw, a szczególniej Austro-Węgier, które wpływają łagodząco na jedną i drugą stronę. Czy jednak usiłowania dyplomacyi austro-węgierskiej, której podobno sekunduje dyplomacya niemiecka, odniosą pożądany skutek, napewne teraz przewidzieć nie można.

W niniejszym numerze podajemy portrety osobistości najwięcej może interesowanych w zatargu, o którym mowa, a mianowicie: tureckiego sułtana Mahometa V-go, oraz króla greckiego Jerzego wraz z żoną, królową Olgą.



Zatarg o Kretę: Król grecki Jerzy I. i jego małżonka, królowa Olga.



Zatarg o Kretę: Mahomet V., sułtan turecki.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

33 (Ciąg dalszy).

Pan Morailles z twarzą postarzałą i zmęczoną, zasiadł w fotelu, naprzeciw doktora Cruxa. Przejścia moralne z powodu zdrady Maud, zostawiły na nim swe ślady; stosunek z Klarą Bell nie zaspokoił ani jego miłości własnej, ani dumy.

— Jakże zdrowie mej żony?

— Lepiej, coraz lepiej! Jest daleko mniej niespokojna, poddała się regulaminowi.

— Ach, tak! — odezwał się pan Morailles, a oczy zabłysły mu gniewem, tak wiadomość ta zirytowała go.

— Nie bez trudu doszło do tego. Czy pan wie, że chciała się zagłodzić? Musieliśmy użyć radykalnych środków.

Markiz, pojmując dobrze, co oznaczają te radykalne środki, ani powiek nie zmrużył.

— I jak teraz?

— Powraca do siebie, rozpoznaje wszystko, ma jasne pojęcie o ludziach i rzeczach.

— W takim razie — rzekł markiz z ironią — dokonał pan cudu i pańska sława jest zupełnie zasłużoną. Winienem więc tylko podziękować panu i zabrać żonę.

Crux pobladł. Wypuścić z rąk taką bogatą pacjentkę!

— Oh! zaprzeczył, źle się wytłomaczyłem... Sądzę przeciwnie, dezorganizacja psychiczna markizy jeszcze dość długo będzie trwała.

— Ach, tak — odezwał się pan Morailles uspokojony.

— Mówiłem o polepszeniu częściowem, jakie można zauważyć w pomieszaniu chronicznem: po okresie podniecenia, następuje okres depresji... To się łączy.

— Tak, istotnie, to się łączy.

— Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jutro była znowu podniecona.

— Czy przyjmowała jakie wizyty?

— Nie, nikt nie został dopuszczony, chociaż dwie panie pragnęły widzieć markizę.

Pan Morailles uśmiechnął się szyderczo.

— Pani Le Chars?

— Tak i jedna Amerykanka, pani Seymour, ale już nie będą przychodziły. Pani Seymour wraca do Ameryki, a pani Le Chars udała się do męża, do Wenecji.

— Skąd pan to wie? zapytał markiz zdziwiony.

— Gdyż pisały do markizy, a ja listy przejąłem. Proszę: ten jest od Amerykanki, a ten od pani Le Chars; pieczątka stemplowa z Wenecji.

— Istotnie, drogi doktorze, mogę tylko panu powinszować starań, jakie pan okazuje w roli dyrektora zakładu. Lecz cóż ja panu jestem winien? jakie sumy?

— Sumy? Crux udał zdziwienie.

— Tak, za pierwsze półrocze pobytu żony w zakładzie, wiem, że jest to w zwyczaju. Proszę, pan zechce policzyć.

Markiz podał mu niedbale zwitek banknotów, które Crux pochwycił z chciwością i przeliczył, potem wystawił kwit, ozdabiając go swym podpisem z wielkim zakrętasem.

— Pragnąłbym przekonać się o stanie zdrowia mej żony, rzekł pan Morailles.

— Czy to będzie roztropne? Nie radzę. Pańska obecność może wzniecić w niej nowe rozdrażnienie i spotęgować gasnącą manję prześladowczą.

— W takim razie zaniecham tego. Poddaję się powadze lekarskiej.

— Może jednak — pospieszył dodać Crux, obawiając się niezadowolenia swego gościa — nie zaszkodzi, jeżeli przez panią Bock, która wywiera na markizę pewien wpływ, uprzedzę ją ostrożnie?... Zaraz zatelefonuję.

— Dobrze.

W pięć minut potem doktór Crux został zawezwany do telefonu, a po skończeniu rozmowy zwrócił się do pana Morailles z pewnem zdziwieniem:

— Markiza oczekuje pańskiej wizyty. Istotnie, coraz czuje się lepiej.

— Cieszę się z tego bardzo, wobec tej zmiany będę rozmawiał bez świadków.

— Uprzedzę panią Bock, towarzysząc panu do pawilonu naszej drogiej pacjentki.

Markiza uczuła, jak krew napływa jej do serca, gdy *nurse* delikatnym głosem oznajmiła jej wizytę męża. Zapanowała nad sobą. Przychodzi zapewne popatrzeć na swój tryumf a jej mękę! Nie ulegnie!

Rozległy się dwa lekkie uderzenia w drzwi i wszedł pan Morailles. Ukłonił się elegancko i rzekł uprzejmie:

— Jak się czujesz, droga Auroro?

— Jako tako. Lepiej, niż się zapewne spodziewałeś.

Wobec tego tonu sarkastycznego, który go dotknął, markiz oburzył się:

— Co za myśl! Przychodzę właśnie...

— By mi zwrócić wolność?

— Może już wkrótce to nastąpi, kochana Auroro, jeżeli tylko będziesz miała dość zimnej krwi, by odpowiedzieć na kilka pytań.

— Ach, doprawdy? Sądzę, że jeśli mam dawać swobodne odpowiedziedzi, muszę przedtem odzyskać wolność.

— Może właśnie przynoszę tę wolność.

— Ach, jest jakieś: może!

— Tak, jest! Twój stan nerwowy wymagał, lub przynajmniej usprawiedliwiał przewiezienie cię tutaj.

— Nie obawiaj się i zrzuć maskę, jesteśmy sami. Nikt nas nie słucha. Miej odwagę być szczerym.

— Mam ją! Jesteś tutaj z mej woli i tak długo pozostaniesz, dopóki mi się to podobać będzie.

— Istotnie, jest to szczerość. Szczerość zbrodniarza!

— Takie słowa mnie nie dotykają. Zapominasz, jakiemi znieważającemi słowami ja ciebie mogę zgnieść.

— Mnie?

— Ciebie!

— Nie rozumiem.

— Zaraz to pojmiesz. Jesteś tutaj pod baczniejszą strażą niż w więzieniu; jeżeli zechcę, zwiędniesz tu, zgnijesz w tych murach, zapomniana, umarła dla świata, jakbyś istotnie była już w grobie.

— Wiem, że jesteś sędzią i katem. Lecz czy powiesz, dlaczego zostałam skazana?...

— To ty mi możesz powiedzieć, Auroro. Tyś winna wyznać, ponieważ jesteś dzisiaj przy zdrowych zmysłach, swe przestępstwa względem mnie.

Markiza roześmiała się urywanym głosem, a w oczach jej zamigotał jakiś szalony błysk.

— Przestępstwa! Przestępstwa względem ciebie, coś mi życie uczynił męczarnią. Względem ciebie, coś mnie brudził skandalami swego życia, coś śmiał porównywać mnie z płatnemi swemi kochankami!

— Oh, tylko o swej cnocie nie wspominaj — przerwał markiz — kto tak, jak ty miał kochanka, kto spłodził z nim bękarta, kto do domu wnosił kłamstwo i fałsz, ten nie śmie mówić o cnocie, winien uniżyć się....

— Przed tobą, ja, nigdy!

— Posłuchaj mnie, jeżeli chcesz, nie mówię, by powrócić do dawnego życia, lecz oddalona od świata żyć w zamku Haut-Briand, wyznaj mi swój błąd. Chcę to usłyszeć z twych ust.

— Szalony jesteś! To jest tylko rzeczą mego sumienia, lecz nigdy twoją. Twoje postępowanie zwolniło mnie od przysiąg małżeńskich! Dosyć już doznałam wstydu, będąc twoją żoną.

Pan Morailles przyrzekł sobie zachować spokój, lecz wściekłość i gniew wstrząsły nim. Schwycił markizę za rękę i omal jej nie zgruchotał.

— Wyznaj! Wyznaj nieszczęsna! .

— Nic nie powiem! Możesz mnie nawet zabić!

— Boisz się o swego bękarta! Ach; jak tyś mnie oszukiwała przez tyle czasu! Jakie sceny obrażonej cnoty odgrywałaś! Lecz teraz ja wiem wszystko, mam ciebie, a kiedy nie chcesz wyznać, nie wyjdziesz stąd nigdy!...

— Czyś ty sądził, żem ja uwierzyła w twe przyrzeczenie uwolnienia mnie?

— Takaś domyślna! Nie, istotnie, nie dotrzymałbym tego. Co mi zresztą zależy na twych słowach, kiedy ja posiadam twój sekret i mogę mścić się na tobie i na twojem dziecku.

— Mścić się! A czyż ty co innego robisz?

— Zaczynam dopiero. To tylko początki! Dlaczegóż twój bękart nie utonął wtedy, dlaczegoż ten głupi Le Chars nie roztrzaskał się wtedy zupełnie. Lecz ja się postaram o jego ruinę. A ty chociaż ocaliłaś życie mimo ukąszenia żmiji, będziesz tu tkwiła w tych murach miesiące, lata, całe życie!

Pan Morailles stracił zupełnie panowanie na sobą. Z pomarszczoną twarzą, z wykrzywionemi ustami stał się straszny i wstrętny.

— Nędzniku! — powtarzała markiza. — Nędzniku!... wreszcie zrzuciłeś swą maskę i okazałeś się takim, jakim jesteś, łajdakiem! Chcesz mnie zgnębić, lecz wiedz, że we mnie pozostaje coś nieśmiertelnego, czystego, czego brudnemi rękami swemi dotknąć się nie możesz. Tak, kochałam! Wyczerpana mękami i poniżeniem, oddałam się całą duszą i ciałem człowiekowi szlachetnemu. Tak, mam syna. Byłam najszczęśliwszą matką, będąc najnieszczęśliwszą żoną, lecz mam w sobie rzecz, której nie możesz się dotknąć: pamięć i miłość dla tych dwojga ukochanych, Roberta i Jacka!.... Możesz mnie męczyć wszelkiemi cierpieniami, lecz nie złamiesz mej miłości kochanki i matki i nienawiści do ciebie!

— Sama na siebie wydałaś wyrok! Żegnam panią, umrzesz tutaj razem z waryatami; oni będą towarzyszami dalszego twego życia.

Spojrzał jeszcze raz na żonę z niewysłowioną wściekłością i wyszedł, ścigany jej rozpaczliwym śmiechem.

XXXI.

OCZEKIWANIE WIERY.

— Proszę pani — rzekła Dody do pani Seymour. gdy przyszła rano po zwykłe, dzienne rozkazy — jakaś dama pragnie widzieć się z panią Le Chars. Mówi, że jej nazwisko nic nie objaśni, lecz że interes ma bardzo pilny.

W chwili tej weszła Joanna; porozumiała się wzrokiem z panią Seymour i rozkazała:

— Proszę wprowadzić.

Ukazała się pani Berty. Przyniosła list od Wiery, który Joanna przeczytała pospiesznie i podała go następnie zniechęcona swej przyjaciółce. Na liście nie oznaczona była ani data, ani miejsce. Zawierał on te słowa:

„Moja droga Joanno.

Bardzo dobrze zrobiłaś, żeś do mnie napisała. Wszystko, co będzie zależało ode mnie, by ocalić naszą przyjaciółkę, uczynię. Nie wiem jednak ani dnia, ani godziny, kiedy powrócę do Paryża. Zrozpaczone serce moje, nie może wybierać pomiędzy dwoma obowiązkami, przyjaźni i sprawy, której służę. Nie mogę wcześniej przybyć na pomoc Aurorze, dopóki nie będę miała wolnych rąk i woli. Znasz mnie dobrze i jesteś pewna, że potem ani minuty nie będę zwlekała. Powierz pani Berty, która jest tak pewna jak i ja, całą sprawę. Ona zacznie to, czego ja dokończę.

Nie wahaj się. Pośpiech przedewszystkiem.

Twoja przyjaciółka

Wiera“.

Spojrzały na siebie z wahaniem, potem wzrok ich przeniósł się na panią Berty. Garbata z zupełną swobodą oczekiwała taktownie na ich decyzyę. W oczach jej malowała się energia. Joanna pomyślała o Aurorze. Czyż nie należy ocalić jej za wszelką cenę, nie zważając na pomocników, ani na ryzyko, jakie przedstawia podobna interwencya?

— Wiera radzi nam zaufać w zupełności pani— odezwała się Joanna. — Proszę, niech pani przeczyta list, potem będziemy rozmawiały.

Nastąpiła długa rozmowa, prowadzona przyciszonym głosem; pani Berty, milcząca i uważna, zdawało się, iż ryje sobie w pamięci każde słowo. Przez chwilę została zagłębiona w swych myślach.

— Nie będę już mówiła, że pani straciła wiele czasu, zwlekając z tem wyjaśnieniem. Nie mogłam sama wnikać w pani sekrety. Zabieram się odrazu do pracy. Wiem z resztą, że panie korzystają także z innej pomocy.

— Pan Cockley — odezwała się pani Seymour — posiada moje całe zaufanie. Jeżeli pani pragnie poznać się z nim...

— Zupełnie słusznie ufa mu pani. Należałoby nie mieć najmniejszej styczności z policją polityczną, a panowie Roggers i Cockley również się nią zajmowali, by nie wiedzieć o ich zręczności. Pozwolą jednak panie, że wyrażę tu jedno pragnienie. Nie chcemy ani pomagać ani hamować pracy mister Cockleya. Sami będziemy mu przeszkadzali i on nam będzie przeszkadzał, a co gorsza, możemy go skompromitować. On jest urzędnikiem policyi, my zaś żyjemy poza prawem. Nasze drogi nie mogą się schodzić.

— Co więc uczynić? zapytała pani Seymour.

Pani Berty uśmiechała się ciągle na widok zakłopotania obu pań.

— Oh, wszystko bardzo prosto. My przygotujemy się i gdy panu Cockley mimo zręczności nie powiedzie się, wtedy zajmiemy jego miejsce. Jedną mam tylko prośbę: proszę nie wspominać o nas panu Cockley. I on i my będziemi swobodniejsi.

— Lecz czas nagli...

— Czy woli pani, bym działała bez Wiery?

— Nie — odparła Joanna, podczas gdy pani Seymour, mając na uwadze tylko rezultat, zauważyła stanowczo:

— Ja bym powiedziała, że tak! Lecz nie tracąc czasu...

— Już dzisiaj wieczór, rzekła pani Berty, bę-

dziemy w możności... Zresztą wolę już być szczerą. Proszę wybaczyć moją gorliwość, lecz już wszystkie kroki przedsięwzięto; jeżeli Wiera dzisiaj przybędzie, znajdzie już teren gotowy. Muszę jednak już panie opuścić.

Pani Berty wyszła.

Joanna zaczęła rozmawiać ze swą przyjaciółką o liście, jaki otrzymała od męża.

— Nigdy nie widziałam go tak zniechęconego. Boję się, czy nie jest chory? Cięży na nim jakiś smutek, który mnie przejmuje trwogą.

Pani Seymour napróżno starała się ją uspokoić.

— Gdyby mnie przyjaźń Aurory nie zatrzymywała tutaj, zaraz pojechałabym do Wenecji. To silniejsze ode mnie, mam złe przeczucia.

— Jedź w takim razie! rzekła pani Seymour, która zaczęła mówić sobie z Joanną po imieniu. Wiesz, jak bardzo kocham Aurorę i że jej nie opuszczę. Mam istotnie jechać do Ameryki, ale dopiero gdy ona zostanie ocaloną. Co mnie jednak najwięcej zajmuje, to przyszłość Aurory. Czy myślałaś o tem?

— Liczyłam na to, że pojedzie z nami do Wenecji.

— Na nieszczęście w Wenecji mąż może ją łatwo odszukać i odwieść znowu do domu zdrowia... A przytem mąż twój ze względu na swe stanowisko, nie będzie mógł okazać tutaj żadnej ochrony, sprzeciwić się prawom... Mam jednak lepszą myśl...

— Jaką?

— Czy pan Le Chars nie zgodziłby się na wyjazd do Ameryki? Może zostać mianowany konsulem w Stanach Zjednoczonych.

— Więc?

— W takim razie towarzyszyłabyś mu...

— A Jacek?

— Ma się rozumieć, że z Jackiem. Ludwika także, jeżeli tylko zechce pojechać.

— A biedna Aurora?

— Czy nie domyślasz się, że zabiorę ją z sobą?

— Do Ameryki?

— Tak, do kraju wolnego, gdzie nikt jej nie będzie niepokoił. Do kraju, w którym prawa bronią wolności osobistej.

— Jessy!

— Dla niej zacznie się tam życie nowe, odzyska spokój i siły, stanie się moją córką, a jestem dosyć bogatą, by otoczyć ją temi wygodami, do jakich tu przywykła. Dla ciebie i dla pana Le Chars będzie to tylko zmiana miejsca. Jacek będzie rósł przy tobie i Aurorze, pośród dwóch swych matek..

— Droga Jessy, jakaś ty dobra... Tak, to wszystko można urządzić.

— Bezwarunkowo... Szeroki ocean będzie przedzielał ją od jej prześladowców... A czy ty nie będziesz się cieszyła w moim kraju?

— Tak, rzekła Joanna... Maurycy zgodzi się... Poczyni potrzebne kroki... Myśl podobna, to jak prawdziwe zbawienie.

— A teraz, Joanno usłuchaj głosu swego serca i ponieważ jesteś niespokojna, jedź do Wenecji. Przyjazd twój ucieszy męża. Wracaj potem z nim jak najprędzej do Paryża, by rozpoczął starania w ministerjum.

— Dobrze, moja ukochana, jesteś najlepszą przyjaciołką. Zaraz zaczną pakować moje rzeczy i Jacka.

— Jakto, chcesz go brać ze sobą?

— Trzeba. Maurycy ucieszy się, widząc go.

— Tak, ale coco ma znosić długą i męczącą podróż, jeżeli wkrótce wrócisz... Powierz mi go, możesz być o niego spokojna.

— Nie mogę... Czuję na sobie taką odpowiedzialność....

Omal nie dodała: „przed Aurorą". Zatrzymała się jednak. Ta straszna tajemnica nie należała do niej. Lecz pani Seymour biorąc ją za ręce, dodała:

— Nie mów nic.... w moim wieku wielu rzeczy się domyśla, współczuje się wielu boleściom...

— Czy wiesz?

— Odgadłam... Myślisz o Aurorze. Lecz właśnie jakaż radość będzie dla niej, gdy po wyjściu z tego więzienia, ujrzy swe dziecko, będzie mogła je ucałować, jedyne, które jej pozostało, gdyż Andrzej, niestety, przepadł dla niej na zawsze. Przepaść ich rozdziela: ten tajemniczy mur szaleństwa, zbudowany przez jego ojca. Zdaje mi się, że się nie mylę, Andrzej bowiem pod wpływem wychowania, jakie otrzymuje, co raz bardziej będzie się oddalał od swej matki.

— Jakież to bolesne...

— Tak, Aurora zawsze będzie go opłakiwała. Lecz gdy zdrowie i władze umysłowe poprawią się, może jeszcze zaznać spokoju i szczęścia.

— Będziesz jednak czuwała nad Jackiem?

— Jak nad własnem dzieckim.

— Nie wiem dlaczego drżę na myśl opuszczenia go. Wydaje mi się, że każdej chwili zemsta i nienawiść markiza....

— Nic nie może mu zrobić. Będziemy czuwały, ja, Ludwika i Dody, która starczy za czworo. Jedź i wracaj prędko, a po powrocie obyś zastała już Aurorę zdrową i wolną.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Joanna podniosła się. Pani Seymour spojrzała na zegarek.

— Punktualni. Mam więc widzieć się teraz z żoną biednego pana Mitre.



Sama na siebie wydałaś wyrok. Zegnam panią.

— Prawda, dzisiaj jej oczekiwałaś.

— Razem z adwokatem jej i jej męża.

— Chciałam, by się odbyło to tutaj. A jeżeli ujrzy Made i będzie ją chciała ucałować?

— Made nic nie będzie wiedziała o jej przyjściu; Ludwika i Dody otrzymały już rozkazy. A jeżeli pani Mitre zechce widzieć swą córkę, sądzisz, że odmówię? Nie! Będę się czuła zadowoloną, jeżeli ta kobieta zachowała jeszcze jakieś uczucie macierzyńskie.

— I ja tego pragnęłabym.

Gdy Joanna wychodziła jednemi drzwiami, drugiemi wchodziła Germaine Mitre, ubrana na czarno, w towarzystwie adwokata Rascoil, małego, ciągle kręcącego się, adwokata Pouppette, wysokiego i milczącego; obydwaj byli również czarno ubrani.

— Ładna ta hultajka, — pomyślała pani Seymour, gdy wskazując przybyłym fotele, spojrzała na wesołą wdówkę.

— Prosiłam panią o pofatygowanie się do mnie, pragnę bowiem rozmówić się zupełnie szczerze. Prosiłam również o obecność panów, by potem niewynikły między nami żadne nieporozumienia.

Ninetka onieśmielona z początku wykwintnem umeblowaniem i powagą pani Seymour, jej śmiałem i szczerem wejrzeniem, po chwili zdołała zapanować nad sobą.

Adwokat Rascoil odezwał się:

— Klijentka moja już została powiadomioną o zamiarach pani...

Pani Seymour zwróciła się wprost do Ninetki:

— Mówmy otwarcie. Co pani zamierza uczynić ze swą córką?

Pani Mitre zawahała się, w oczach jej wyraziło się podejrzenie.

— Pytam się o to, gdyż mam do tego prawo, prawo przyjaźni, jaką żywiłam dla pani męża, dla pani świekry i dla dziecka, które bardzo polubiłam.

— Ależ, proszę pani — rzekła Ninetka, przybierając poważną minę — przecież ja pozostałam, ja matka.

— Tak, pani pozostała i dlatego pytam się, jakie pani ma zamiary względem swej córki? Czy pani pragnie ją wychowywać, poświęcić się jej i dlatego zacząć nowe życie, które będzie dawało dziecku tylko dobre przykłady?

Adwokat Rascoil poruszył się niespokojnie. Pani Seymour spojrzała na niego:

— Pańska klijentka wybaczy mi mą szczerość; jestem Amerykanką i nie lubię mówić ogólnikami. Uważam, iż gdy ma się zaszczyt być matką, należy oddać się dziecku. Jeżeli takie są pani myśli, nic nie pozostaje, jak tylko zachęcać panią do wytrwania.

Ninetka poczerwieniała, potem pobladła, nic jednak nie odpowiedziała. Zagryzła wargi, zdawała się namyślać.

— Pani jednak jest młodą, jest piękną i wydaje mi się — proszę wybaczyć mą szczerość — więcej skłonną do prowadzenia wesołego i pustego życia, niż do podejmowania się ciężkiego obowiązku wychowywania duszy dziecięcej.

— To nie moja wina — rzekła żywo Ninetka. Nigdy nie mogłam pogodzić się ze swym mężem. Ja kocham swą córkę, z pewnością ją kocham, ale jeżeli ona ma stać się kiedy podobną do pana Mitre, wolę jej nie brać ze sobą... A przytem mąż zostawił mnie bez żadnych środków...

I podniosła do oczu elegancką, koronkową chusteczkę, roznoszącą silny zapach fijołków.

— Czy wie pani — rzekła poważnie pani Seymour — o czem ja myślałam? W pani położeniu i z tem... co zaszło między panią, a jej mężem, sąd może przyznać pani prawa bardzo ograniczone...

Adwokat Rascoil wtrącił uprzejmie:

— Odradzam swej klientce dochodzeń sądowych.

— Porozumienie — rzekł poważnie adwokat Poupette z miną surową i głosem stłumionym, z usposobienia był melancholikiem — prędzej doprowadzi do celu.

Pani Seymour mówiła dalej:

— Córka pani ma zostać pod opieką babki i opiekuna, którym został uznany pan Le Chars. Wobec tego pani pozostaje swobodną, dlaczego jednak nie ma pani wyrobić sobie własną pracę lepszego, odpowiedniejszego położenia, stać się na nowo uczciwą kobietą?

Przy słowie „praca" — Ninetka przestraszona szepnęła:

— Ależ ja nigdy nie pracowałam.

W głosie jej zadźwięczało pewne lekceważenie. Widocznie praca była dobra ale dla pana Mitre. On mógł tracić oczy nad papierami, garbić się pochylony nad stołem, starzeć się wśród trosk, było to zupełnie naturalne. On był mężczyzną, był brzydkim, smutnym, domatorem. Lecz ona? Ona miała gusta fantastyczne, różowe, okrągłe ciało, pragnienie wygód i zbytku.

— Pani nigdy nie pracowała? — rzekła pani Seymour — dobrze, ale i tego można się nauczyć, moje dziecko! Wiem, że atmosfera Paryża nie jest zdrową; przyzwyczajenia, pokusy, przeszłość, ciągną do siebie, istnieją jednak inne kraje, gdzie można zmienić się i wytrwać w swem dobrem postanowieniu. Jeżeli pani pragnie, ułatwię pani podróż i pobyt tam; postaram się o zajęcie dla pani.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dom wzniesiony w ciągu jednej doby.

Podajemy w niniejszym numerze niezmiernie ciekawą rycinę, która illustruje, w jak szybki sposób Amerykanie północni, tu i ówdzie, wznoszą swe domy mieszkalne. Niejaki W. E. Carl, na przedmieściu East Lansdowne pod St. Louis, zdołał w ciągu 24 godzin dom zbudować. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale jednak jest faktem. Dom ten składa się z gotowych ścian, wykonanych w betonie, zamkniętych żelaznemi ramami.

Wcześnie rano robotnicy w odpowiedniej liczbie już pracowali nad fundamentami, następnie przystąpiono do ustawienia ścian, w których okna były gotowe, wreszcie nakryto dach asbestem.

Jest to rekord szybkości, jakiego budowniczowie całego świata dotąd nie osiągnęli, chociaż środki techniczne są wszędzie tesame. Wynika on głównie stąd, że Amerykanie umieją doprowadzić jaknajdalej podział pracy, przez co zyskują ogromnie na czasie. Każdy robotnik wie, co ma czynić i wykonywa swą pracę intensywnie, w czasie ściśle wyznaczonym.

W ten sposób osiągają inżynierowie amerykańscy, szczególniej przy budowie kolei, wprost bajeczne rezultaty. Gdy w starym świecie taka budowa ciągnie się stosunkowo czas długi — w Stanach Zjednoczonych wyrasta w oczach linia kolejowa z mostami, wiaduktami i tunelami.



Dom wzniesiony w ciągu jednej doby: Kamienica podczas budowania w St. Louis w Stanach Zjednoczonych.



Arcyksiążę Leopold w prowincyach okupowanych: 1. Arcyksiążę, 2. minister Burian, 3. generał piechoty Vareszanin, podczas polowania pod Sarajewem.

Arcyksiążę Leopold Salwator w prowincyach anektowanych.

Podróż inspekcyjna, jaką niedawno temu odbył arcyksiążę Leopold Salwator, generalny inspektor artyleryi, po Bośni i Hercegowinie, dała tamtejszej ludności możność osobistego zetknięcia się z jednym z członków dynastyi Habsburgów, czego życzono sobie w szerokich sferach tych prowincyj. Objawy lojalności i zadowolenia z powodu przyjazdu arcyksięcia Leopolda Salwatora były nadzwyczajne, a co najważniejsze, pochodziły z dobrej woli ludności, która zrozumiała, że przyłączenie jej ostateczne do Austro-Węgier, może jej tylko przynieść korzyści materyalnej, społecznej i politycznej natury.

Tamtejsza prasa muzułmańska, która chwilowo, pod wrażeniem faktu dokonanej aneksyi, zajęła wrogie stanowisko wobec Austro-Węgier, dziś głosi zupełnie co innego. Nawet takie radykalne dzienniki, jak *Muslimanska Soijest*, witały arcyksięcia entuzyastycznymi artykułami. Natomiast dzienniki, wydawane przez prawosławnych Serbów, zachowały się z pewną ale taktowną rezerwą wobec odwiedzin wysokiego gościa.

* * *

Rycina załączona przedstawia arcyksięcia podczas polowania w miejscowości Kara Mustafa Kahira w okolicach Sarajewa. Stoją obok niego: wspólny minister skarbu Burian i gen. piechoty Vareszanin von Varesz, komendant XV. korpusu i szef rządu krajowego w Bośni i Hercegowinie. Tło grupy stanowią zaproszeni goście, wśród których widać trzech mahometan z fezami na głowach.



Murzynka szofferem: Dorożka automobilowa w Paryżu, prowadzona przez murzynkę.



Rewolucya w Barcelonie: Szereg kamienic na bulwarze Rambla, zbombardowanych przez wojska rządowe.

Murzynka szofferem.

Paryż ma zawsze dużo sensacyjnych nowości. To najpiękniejsze i najweselsze miasto pod słońcem, sili się wprost na najrozmaitszego rodzaju ekstrawagancye, byle tylko jego mieszkańcy nie nudzili się nigdy i by zawsze mieli jakąś niezwykłą nowość.

Najnowszą sensacyą uliczną jest tam murzynka w roli szoffera samochodowego. Jak widać na załączonej dziś rycinie, odziana jest pionierka emancypacyi murzyńskich niewiast bardzo szykownie, wedle najnowszej mody i przedstawia się bardzo zgrabnie. Obowiązki swe spełnia bardzo skrupulatnie, odczuwając widocznie całą powagę i znaczenie swego wysokiego stanowiska.

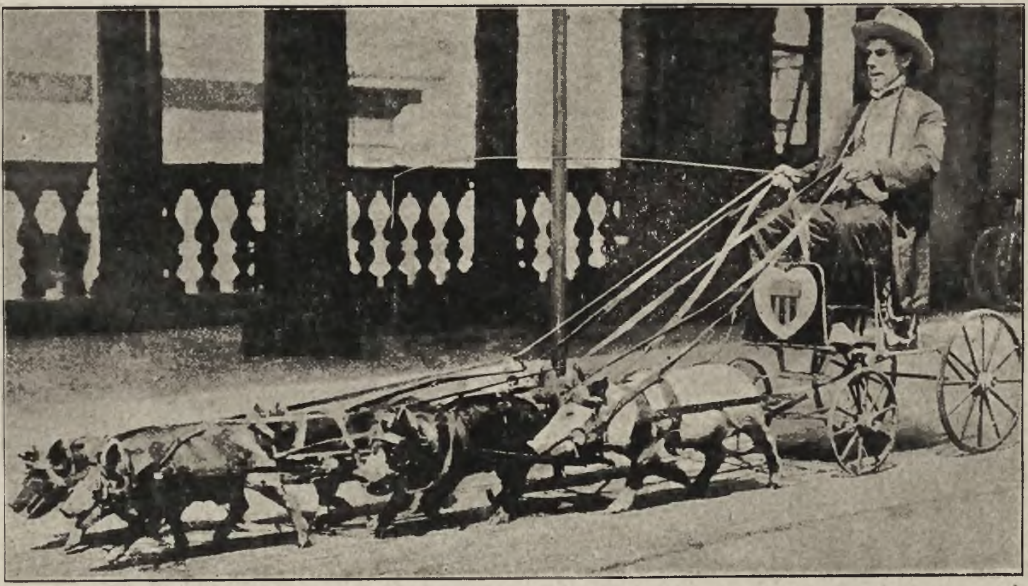
Jako szofferka samochodu-dorożki, cieszy się też owa czarna miss wielkiem powodzeniem, mnóstwo bowiem osób pragnie zakosztować rozkoszy jazdy samochodowej pod kierunkiem tak niezwykłego szoffera.

Rewolucya w Barcelonie.

Wydaje się, że pomimo wcale sprzyjających okoliczności, rewolucya katalońska się nie udała. W Barcelonie stłumiono ją dość szybko, a rząd centralny w Madrycie, który uchodził za zupełnie bezsilny, zdołał przecież uratować istniejący porządek rzeczy.

Opisy naocznych świadków, którzy przeżyli strasznych sześć dni ostatnich ubiegłego miesiąca w Barcelonie, dają pojęcie o tem, co się tam działo. Z obu stron walczono z niesłychaną zawziętością i bezwzględnością, które charakteryzują Hiszpanów. Wojska rządowe na początku rozruchów były za słabe, aby stawić czoło wraz z policyą i żandarmeryą rewolucyonistom. Dopiero gdy nadeszły posiłki, udało się rewolucyonistów wypierać z jednej pozycyi na drugą.

Tymczasem dopuszczali się rewolucyoniści wprost nieludzkich znęcań nad licznymi w Barcelonie zakonnikami i zakonnicami, zabijając ich i żywcem wrzucając w płomienie podpalonych klasztorów. Nawet dzieci płci obojga w przytułkach i szkołach klasztornych nie uszły wściekłości rozjuszonego tłumu. Wystarczy powiedzieć, że w Barcelonie podczas ostatnich zaburzeń spalono czterdzieści klasztorów i kościołów.



Cuda tresury: Sześć sympatycznych świnek ciągnących powozik amerykańskiego klowna Kerslakera.



Rewolucya w Barcelonie: Zniszczony przez anarchistów kościół św. Pawła.

Jeden z dziennikarzy francuskich, który był na miejscu, twierdzi, że sceny, jakie rozgrywały się w stolicy Katalonii, przeszły w swym „sadyzmie" nawet sceny podczas słynnej Komuny paryskiej z 1871 roku. Niedość np., że bezczeszczono zakonnice, ale następnie w sposób wyrafinowany zadawano im męki. W klasztorze św. Magdaleny nie oszczędzono nawet grobów pod kościołem. Wyciągnięto stamtąd trumny i żywe zakonnice spalono na stosie, z tych trumien ułożonym. Wszędzie używano obficie nafty, aby dzieło zniszczenia przyspieszyć. Kierownikami tych okropności byli liczni w Katalonii anarchiści.

Bardzo interesujące ryciny, jakie w niniejszym numerze podajemy, dosadnie illustrują rewolucyę barcelońską. Naprzód oglądamy pochód manifestantów, gdy rozruchy nie przyjęły jeszcze charakteru rewolucyjnego, dalej widzimy tych samych manifestantów na ruinach jednej z ulic. Inna znów rycina przedstawia portal spalonego przez rewolucyonistów kościoła św. Pawła. Ostatnia wreszcie daje obraz zniszczenia, dokonanego przez pociski wojsk rządowych na ulicy Rambla, pryncypalnym bulwarze Barcelony.

Cuda tresury.

Świnia, słusznie tak nazwana dla swego niechlujstwa, zdanie powtarzane dziś w żarcie, niestety jednak niegdyś zdobiące jeden z podręczników, z których nasi ojcowie czerpali swe wiadomości, świadczy, że tak jak teraz, tak i ongi, pożyteczne to zwierzę nie cieszyło się wcale dobrą opinią. Nie przeszkadzało to jednak, aby ci sami, którzy oburzali się na nieczystość tego gruboskórca, nie oblizywali sobie palców po różnych delikatesach, wyrabianych z jego ciała i łykali ślinkę na samo wspomnienie,



Rewolucya w Barcelonie: Hiszpańscy rewolucyoniści w pochodzie obok barykad na jednej z ulic Barcelony.



Rewolucya w Barcelonie: Pochód demonstracyjny na jednej z ulic Barcelony.

że w zaprzyjaźnionym domu odbędzie się tak popularna „uroczystość familijna". Z biegiem czasu nic się nie zmieniło, ubolewamy nad zapominaniem się świni i jej niedbalstwem o zewnętrzny wygląd, konsumujemy jednak z apetytem wyroby naszych masarzy, zapominając, że pochodzą one z tak wzgardzonego stworzenia.



Zgon ziemianina-literata: Ś. p. Kajetan Sołtan Abgarowicz (Abgar-Sołtan).

Jednak niesłusznie postponujemy to tak pożyteczne zwierzę, gdyż, jak wiadomo, stanowi ono jeden z głównych przedmiotów naszego gospodarstwa domowego i odznacza się wielką pojętnością. Dowodem, że w gospodarstwie ma ona swe znaczenie, jest zajęcie się nią nawet polityków, którzy zamknęli dla niej granicę serbską. O pojętności świnki świadczy używanie jej do wyszukiwania trufli i zdolność przyuczania się różnych sztuczek.

Niejednokrotnie widzieliśmy w cyrkach piękne okazy, występujące w różnych gimnastycznych popisach, obecnie jednak tresura ich doszła do kulminacyjnego punktu. Amerykański klown Kerslaker sporządził sobie zaprząg z sześciu paciuczków, które ciągną wózek, na którym on siedzi, tańczą i spinają się po drabinie, budząc podziw u widzów. Biedni czworonożni artyści nie spodziewają się nawet, iż wielu z pomiędzy oklaskujących ostrzy sobie zęby i łyka ślinkę na samo wspomnienie owych przysmaków, które kiedyś wprawna ręka sporządzi z ich okrągłych kształtów.



Cesarz Mikołaj we Francyi: Cesarz Mjkołaj II. i minister Boue de Lapeyrère w czasie ćwiczeń marynarki francuskiej. Obok prezydent Fallières, cesarzowa i dwie córki cesarstwa.

Zgon ziemianina-literata.

Jeden z najpopularniejszych powieściopisarzy polskich, zawsze cenionych i chętnie czytanych, Kajetan Sołtan Abgarowicz, znany pod pseudonimem Abgar-Sołtana, zakończył nagle życie w Truskawcu przed kilkunastu dniami.

Abgarowicz urodził się 1856 r. w Galicyi wschodniej, jako potomek szlacheckiej rodziny ormiańskiej, spolszczonej oczywiście. Po ukończeniu, nauk poświęcił się tradycyjnej pracy na roli, obok tego zaś pisał powieści i nowele. Życie wiejskie, pełne



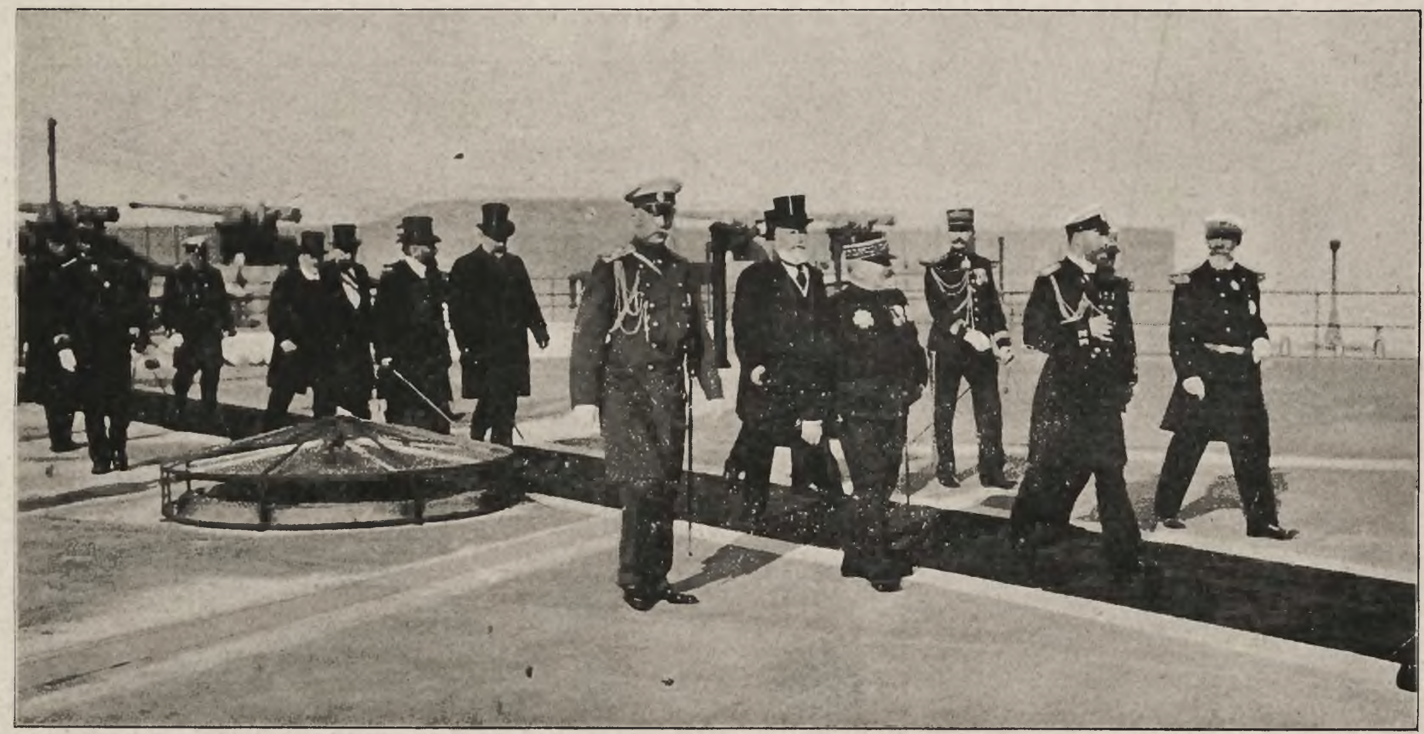
Polskie Towarzystwo emigracyjne: Grupa polskich górników w Oświęcimiu, przed odjazdem na roboty do Francyi.

uroku i czaru, spokojne i zaciszne, przerywane rzadko momentami romantycznej natury, oto główny temat powieści tego pisarza. Unikał problemów bardziej zawiłych, daleki był od nowoczesnych prądów w literaturze i sztuce, lubował się natomiast w historyach prostych, owianych liryzmem podolskich łanów i jowialnym humorem szlacheckim.

Utworów jego powieściopisarskich jest długi szereg, a do najlepszych zaliczają się: „Klub nietoperzy“, „Polubowna ugoda“, „Z wiejskiego dworu“, „Kolega“, „Panna Siekierzanka“ i i. Zarówno te, jak i inne powieści Abgar Sołtana odznaczają się interesującą fabułą i lekkością opowiadania.

Ś. p. Abgarowicz próbował też pióra swego w dziedzinie dziennikarstwa i pracował przez czas jakiś w *Przeglądzie lwowskim*, nadto zasilał szereg pism warszawskich i galicyjskich artykułami ekonomicznej natury. Jako znawca i zamiłowany hodowca koni, ogłosił w *Rolniku* obszerne studyum p. t. „Historya stadnin w Polsce“.

W ostatnich czasach pisał bardzo mało. Było to następstwo choroby, wywołanej znanym wypadkiem kolejowym na jednej ze stacyi linii Stanisławów-Buczacz. Przed paru laty mianowicie wpadł śp. Abgarowicz do dołu kloacznego na dworcu, przyczem ciężko się potłukł i doznał wstrząsu nerwowego. Proces ze skarbem kolejowym o odszkodowanie toczył się bardzo długo i dopiero niedawno zakończył się wygraną chorego literata. W ostatnich tygodniach bawił w Truskawcu na kuracyi, tam też zmarł nagle.



Cesarz Mikołaj we Francyi: Cesarz rosyjski Mikołaj II. w towarzystwie ministra marynarki francuskiej Boué de Lapeyrére i w otoczeniu dygnitarzy francuskich i rosyjskich na wybrzeżu portu w Cherbourgu.

Cesarz Mikołaj we Francyi.

W porze wakacyjnej odbywają się zazwyczaj zjazdy monarchów, na których omawia się najważniejsze sprawy międzynarodowe, zawiera się przymierza i manifestuje pokojowe dążenia, któremi wszyscy władcy europejscy są przejęci. Tegoroczna podróż cesarza Mikołaja i odwiedziny we Francyi, są nowym dowodem nienaruszalności związku francusko-rosyjskiego, który w ostatnich piętnastu latach utrzymywał równowagę w Europie.

Na przyjęcie gości przybył do Cherbuorga prezydent Rzeczypospolitej francuskiej Fallières wraz z przedstawicielami rządu, zebrała się także w pokaźnej liczbie flota francuska, która entuzyastycznie witała sprzymierzeńców. — Szczególne zainteresowanie obudziły manewry francuskich łodzi podwodnych, którym z zajęciem przypatrywali się obydwoje cesarstwo wraz z dziećmi, oraz prezydent Fallières. Córeczki cesarstwa podczas tego sporządzały migawkowe zdjęcia z manewrów, wyjaśnień zaś udzielał gościom francuski minister marynarki, admirał Boué de Lapeyrère.

Po rewii, która trwała pół godziny, a której przypatrywano się z pokładu francuskiego statku „Gallilé“, udał się cesarz Mikołaj na pokład „Standarta“, następnie zaś złożył wizytę prezydentowi Fallières na statku „Verité“, poczem znów wrócił na swój jacht. Tegoż dnia cesarz i prezydent odbyli na statku „Verité“ konferencyę, która trwała przeszło godzinę. Przedmiotem miała być kwestya bałkańska. Po serdecznem pożegnaniu „Standart“ z rodziną cesarską na pokładzie, skierował się ku brzegom angielskim i w otoczeniu statków rosyjskich i angielskich zawinął wśród odgłosu strzałów armatnich do portu Spithead.

Illustracye nasze przedstawiają sceny z pobytu cesarza Mikołaja w Cherbourgu.



Polskie Towarzystwo emigracyjne: Personal urzędniczy biura z dyrektorem J. Okołowiczem (✕).

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

10 (Ciąg dalszy).

— Nie chciałby mi pan, drogi Newtonie, pomódz w tem?

— Z chęcią, gdybym nie był tak zmęczony, drogi przyjacielu, pozwolisz mi więc, że udam się na spoczynek...

— Proszę! — odrzekł niechętnie inspektor. — W istocie bowiem nie potrzebuję żadnej pomocy... do widzenia, Newton!...

— Do widzenia, Lapipe!... Życzę powodzenia!... I detektyw, uścisnąwszy rękę swego kolegi, oddalił się.

Przez chwilę szukał jeszcze w tłumie domina różowo-czarnego, by uprzedzić je o swym odjeździe. Nie spostrzegając go jednak nigdzie i przypuszczając, że baronowa już wróciła do siebie, uczynił to samo, podczas gdy Lapipe rozpoczął poszukiwanie swego mandaryna.

Przewidział jednak to Paweł de Vareilles.

Jak tylko obydwaj urzędnicy policyjni zeszli się razem, zrzucił z siebie w bocznym pokoju strój mandaryna, pod którym miał na sobie ubiór arlekina.

Bezpieczny w tem nowem przebraniu widział dokładnie, jak Boer szukał go uporczywie po wszystkich salonach i jak wreszcie zaniechawszy swych daremnych wysiłków, odjechał do domu.

XI.

Szczególny zakład.

Na drugi dzień rano baronowa wstała pełna lęku, dziwiąc się, dlaczego attaché nie przybył na naznaczone przez siebie *rendez-vous;* z niepokoju tego wywiódł ją dopiero Newton, który przed odjazdem do Ameryki przyszedł pożegnać się z swą klientką.

Postarał się wytłomaczyć jej, że astrolog dlatego tylko nie zjawił się na balu, ponieważ, przeczuwając obecność tam Lapipa i jego agentów, odłożył spotkanie do odpowiedniejszej pory.

Piękna Rosyanka zaczęła nabierać już otuchy, gdy zaanonsowano hrabiego Fraskopelly. Znowu ogarnęła ją trwoga. Jeżeli kapitan zapomniał o wszelkiej roztropności, która zabraniała mu pokazywać się u baronowej poza godzinami ogólnych przyjęć, to widocznie skłoniła go do tego jakaś ważna przyczyna.

— Prosić! — rzekła żywo.

Ponieważ detektyw chciał się oddalić, zatrzymała go.

— Proszę, niech pan zostanie... może będziemy potrzebowali pańskiej porady.

Po oddaniu niebiesko-żółtemu dominu koperty z pieniądzmi, attaché wyszedł zaraz z balu i pospiesznie odjechał ze swym cennym łupem do domu. Otworzywszy jednak pakiet, jaki mu mniemana jego wspólniczka wręczyła w zamian za pięćdziesiąt tysięcy franków, zdumiał się wobec widocznego oszustwa; zamiast planów, znalazł czyste arkusze papieru. Co to mogło znaczyć?

Na drugi dzień udał się zaraz do baronowej, by zażądać wytłomaczenia. Przy pierwszych słowach przerwała mu zaraz baronowa:

— Był pan wczoraj na balu?

— Naturalnie, jako biały zakonnik; tak panią uprzedziłem...

— Przepraszam, pan miał być jako astrolog, poprawiła go, pokazując mu bilet.

— Ależ ja nie ten pani dałem w teatrze! — zawołał Fraskopelly zmieszany.

I uderzając się ręką w czoło, dodał:

— Kim w takim razie było to domino niebiesko-żółte, które mi dało pakiet i któremu wsunąłem swą kopertę?... Ani chwili nie wątpiłem, że to pani!...

Tknięta przeczuciem baronowa, podbiegła do swego biurka i po chwili wróciła z obwiązanym i zalakowanym zwojem dokumentów. Jednym ruchem ręki zerwała sznurki. Nagle na twarzy jej zamalowało się przerażenie. Przed sobą ujrzała tylko stare dzienniki, włożone w noc zabójstwa bankiera przez Pawła de Vareilles. Oboje spoglądali na siebie przygnębieni; wreszcie piękna Rosyanka zdołała wyszeptać:

— A jednak ja sama składałam to w kasie ogniotrwałej Korpfstraussa... i sama to potem brałam... a tylko ja i on znaliśmy cyfrę, na jaką otwiera się ta kasa...

— Jaka to cyfra? — zapytał milczący dotychczas Newton.

— 24785.

— 785? — zawołał detektyw, przypominając sobie rozmowę, jaką miał z Lapipem w gabinecie sędziego śledczego — to była liczba zapisana na kawałku papieru, jaki po sobie pozostawił zbrodniarz w swym pokoju...

— Więc co? — zapytała baronowa, blednąc coraz bardziej.

— W takim razie — mówił dalej detektyw — musiało komuś zależeć na zawładnięciu tymi dokumentami, chociażby za cenę zbrodni!

Piękna Rosyanka nie dała mu jednak dokończyć myśli, lecz padła na fotel omdlała, jęcząc:

— Jestem zgubiona... policya wie wszystko!...

W godzinę potem, oznajmiwszy służbie, iż jedzie do Rygi, wezwana niespodzianie do chorej krewnej, siadała do pociągu, drżąc z obawy, by jej nie aresztowano. Dyrekcya policyi, uważając za szkodliwe zawiadamianie prokuratora o pobudkach jej nagłego zniknięcia, rozesłała tylko do dzienników notatkę, z której można było domyśleć się, że niespodziewany odjazd baronowej spowodowany został pewną historyą miłosną.

Po przetrzymaniu przez pewien czas w więzieniu członków Asa Kierowego, wypuszczono ich na wolność. Nie można ich bowiem było oddać sądowi, by nie rozgłaszać sprawy z ulicy Ramus, co do której należało również zachować milczenie.

Niemiły natomiast los spotkał hrabiego Fraskopelly'ego, na którego dwuznaczne postępowanie poskarżono się przed jego rządem. Głównem zadaniem attaché wojskowych, jakich państwa wysyłają wzajemnie do siebie i utrzymują przy swych ambasadach, bywa zdobycie tajemnic wojskowych danego mocarstwa. Wszystko zależy od uniknięcia podejrzeń policyi. Przy pierwszem niepowodzeniu, odwołuje się ich zaraz. To stało się właśnie z niezręcznym kapitanem. W dwa tygodnie po zniknięciu baronowej otrzymał już rozkaz udania się do pułku swego, stojącego załogą w jakiemś małem miasteczku. Przed opuszczeniem Paryża na zawsze, zaprosił kilka osób, bliższych swoich znajomych, na pożegnalny obiad.

Przy stole, przybranym kwiatami, w najmodniejszej restauracyi, zasiedli książę Visconti, hr. Otto de Schlakemburg, książę de Vaintrailles, pułkownik Poziabeneff, bogaty Amerykanin Reginald Farweth, piękna śpiewaczka Róża Tremiere, belle Otero, Zuzanna Dervanne i Smintha de Fradesy, której wyższą jazdę podziwiał w Nowym Cyrku cały Paryż. Zabawa wśród licznych toastów odbywała się tak wesoło, iż już w połowie uczty goście z trudem tylko siedzieli na swych miejscach, każdy bowiem był już dostatecznie podchmielony. Przed podaniem lodów podniósł się kapitan Fraskopelly i uderzając w kieliszek, prosił o ciszę.

— Panie... Panowie... — zaczął niewyraźnym głosem — przed chwilą zrobiłem zakład z pułkownikiem Poziabeneff... i wszystkich proszę na świadków...

— Zgoda!... Dobrze!... — zawołało kilka głosów.

— Założyłem się — mówił dalej kapitan, trzymając się stołu, by nie upaść — założyłem się...

Nadużycie trunków nie pozwalało mu mówić. Chwiał się, tracił wątek, lecz ciągnął dalej:

— Założyłem się... że poślubię pierwszą blondynkę, którą spotkam jutro o trzeciej godzinie na prawym rogu ulicy Enghien i Faubourg-Poissonniere... pułkownik utrzymuje, że tego nie uczynię... a ja mówię, że tak...

Ta bezsensowna myśl, która mogła wylęgnąć się w mózgu tylko przepojonym trunkami, znalazła głośne uznanie u zebranych. Wszyscy podzielili się zaraz na dwa obozy, za jednym zakładającym się lub za drugim. Rozprawiano szeroko i każdy chciał narzucić swe zdanie innym, gdy zabrał głos Reginald Farweth, jedyny z gości, który nie stracił przytomności.

— Mój drogi kapitanie, nikt tu nie wątpi, że jest pan w stanie wykonać swój projekt... lecz na miłość Boską, niech go pan zaniecha!... może pan trafić nieszczęśliwie i potem będzie pan zmuszony poślubić jakąś dziewczynę niegodną siebie, która zniesławi pańskie nazwisko i zgubi pańskie życie!... Ryzykować swą świetną przyszłość, psuć karyerę tak nierozumnym zakładem, jest wprost szaleństwem... niech pan porzuci ten zamiar... pułkownik Poziabeneff pierwszy się na to zgodzi!...

— I ja to radzę! potwierdził Otto de Schlakemburg, który już oprzytomniał.

Kapitan Fraskopelly jednak, prostując się i krzyżując na piersiach ręce, odparł dumnie.

— Mój drogi Farweth, zasługuje pan, bym posłał panu dwóch swych przyjaciół z żądaniem cofnięcia tej zniewagi... niech pan się dowie, że hrabiowie Fraskopelly nie czynią nigdy nierozumnych zakładów... i nie przerywają nigdy!...

— Brawo, Frasko! — zawołała Róża Premiere, zachwycona stanowczością i zuchwalstwem hrabiego.

Zachęcony uznaniem pięknej kobiety, o której wdzięki starał się już oddawna, kapitan mówił dalej:

— W 1610 roku, jeden z moich przodków Chrystyan de Fraskopelly, kapitan dragonów królowej, założył się, że skoczy na koniu ze skały nadmorskiej z wysokości osiemdziesięciu metrów. Była to pewna śmierć. Skoczył i zabił się...

— Brawo! — zawołały aktorki, klaszcząc radośnie rękami.

— W roku 1715, mój przodek Eryk de Fraskopelly, pułkownik szwoleżerów, odznaczony za zdobycie pięciu sztandarów nieprzyjacielskich na jakiejś wojnie, założył się, że siądzie na otwartej beczce prochu i będzie palił fajkę. Była to okazya do wylecenia w powietrze. I wyleciał w istocie.

— I zabił się!... — dokończył flegmatycznie Amerykanin.

Kapitan ciągnął dalej:

— W roku 1840, mój dziadek Fryderyk de Fraskopelly, kazał sobie przynieść na obiedzie oficerów gwardyi kość do gry i rzekł: Panowie, przedstawiam wam taką propozycyę. Kość tę rzucę do góry. Jeżeli upadnie na jedynkę, wypłacicie mi dziesięć tysięcy franków; jeżeli na dwójkę, pójdę w kasku na głowie do Paryża na czworakach, jeżeli na trójkę, dacie mi piędziesiąt tysięcy franków; jeżeli na czwórkę, wypiję piętnaście butelek szampana; jeżeli na piątkę, oddacie do mej dyspozycyi stopięćdziesiąt tysięcy franków, któremi płacę dziesiątą część swych długów; jeżeli na szóstkę, biję się na szable z każdym z was po kolei.

— Zgoda! — zawołali wszyscy oficerowie.

— Dziadek mój rzucił kość do góry i...

— I nie upadła wcale! — roześmiał się książę de Vaintrailles.

— Przepraszam, na czwórkę...

— I wypił pański dziad piętnaście butelek?

— Bez wątpienia, mój książę; przeniesiono go potem do domu zdrowia, gdzie umarł... Panowie — dodał kapitan wśród czkawki — przyznacie, że mój zakład jest daleko łatwiejszy do wykonania... Jeszcze miesiąc pozostaję w Paryżu, starczy więc czasu, bym się ożenił... Naznaczam wam spotkanie przy tym stole za ośm dni, by podać nazwisko mej narzeczonej...

Nie mogąc już dłużej utrzymać się na nogach, siadł wśród ogólnego brawa biesiadników, coraz bardziej pijanych.

Na drugi dzień na trzy kwadranse przed trzecią zatrzymał się na rogu ulicy Enghien i Faubourg-Poissonniere wspaniały samochód, z którego wysiadło dwóch panów w tużurkach, cylindrach i jasnych rękawiczkach. Był to kapitan Fraskopelly z przyjacielem swym, hr. Otto de Schlakemburg. Trzymał on w ręku zegarek i liczył półgłosem: druga 57, ...druga 58... druga 59...

Potem zawołał nagle:

— Trzecia godzina!

W chwili tej wyszła z ulicy Enghien młoda, piękna blondynka. Była nią Żaneta Levasseur, która z wielkiem pudłem w ręku odnosiła robotę swej klientce.

Piękna i wdzięczna w swej skromnej sukni, wyraźnie uwydatniającej jej zgrabne kształty, z promieniami złocistych włosów pod kapeluszem, szła wesoło i lekko, nie patrząc nawet na przechodniów. W chwili jednak, gdy skręcała z rogu ulicy Enghien na Poissonniere, skłonił się przed nią nisko jakiś mężczyzna i gdy ona zatrzymała się mimowoli, rzekł:

— Mam zaszczyt prosić panią o jej rękę!

Zdziwiona. sądząc, że ma do czynienia z jakimś waryatem lub żartownisiem, Żaneta wzruszyła tylko ramionami i chciała iść dalej, gdy jegomość ten zaczął mówić:

— Jako o łaskę proszę panią o wysłuchanie mnie. Nazwisko moje starczy do uspokojenia pani... jestem kapitan Fraskopelly, attaché wojskowy niemieckiej ambasady...

Żaneta nie była zbyt przystępna i nie pozwalała zaczepiać się. Odparła też żywo:

— Kimkolwiekby pan był, proszę zostawić mnie w spokoju...

Kapitan nie uznał się jednak za zwyciężonego, lecz nalegał dalej:

— Pani... stanowisko... wielki majątek... mój ojciec jest księciem... kawaler Dworu... mówię zupełnie seryo...

— Panie, proszę zaprzestać tych żartów, gdyż zawołam policyanta!

Kilku przechodniów, widząc młodego, eleganckiego

pana, zaczepiającego młodą dziewczynę, przystanęło, ciesząc się z tej sceny.

Wtedy milczący dotychczas towarzysz kapitana pociągnął go za rękaw:

— Niech hrabia nie nalega... wplączemy się w awanturę z policyantem... przegrał pan zakład i nic się nie stało!... Tem lepiej dla pana — dodał pocichu, jakby mówił do siebie.

Kapitan jednak odparł nerwowo:

— Czy żartujesz, Otto?... Wiesz dobrze, że nie było jeszcze przykładu, by hrabia Fraskopelly przegrał zakład... ta panna nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa!... Musimy ją śledzić, by dowiedzieć się przedewszystkiem, kto ona jest... A przytem, co jest dla mnie lepiej lub gorzej, to tylko ja wiem, a ciebie nie powinno to interesować...

— Mój drogi, błagam cię...

Przejeżdżała dorożka. Kapitan, nie odpowiadając przyjacielowi, zatrzymał ją. Potem dał rozkaz woźnicy, by zdaleka jechał za tą blondynką, która oddalała się szybko, nie troszcząc się nawet, co się za nią dzieje.

— Jeżeli będziemy musieli rozejść się, by ją śledzić, to ty, Otto, zostaniesz w dorożce, a ja pójdę i potem spotkamy się za Operą...

W następnym tygodniu nikt nie omieszkał przyjść na rendez-vous, które kapitan naznaczył swym gościom. Oczekiwano dnia tego z niecierpliwością i ciekawością, a każdy pragnął po wytrzeźwieniu, by ten wesoły chłopiec nie złamał sobie życia przez głupi zakład.

To też gdy przy deserze kaiptan podniósł się i prosił o ciszę, wszystkie rozmowy odrazu ustały.

— Panie i panowie — rzekł — młoda panna, którą wkrótce poprowadzę do ślubu w tym pięknym kraju, gdzie jeszcze na pewien czas jestem gościem, nazywa się Żaneta Levasseur... jest hafciarką, sierotą i uczciwą... liczy dwadzieścia jeden wiosen i mieszka na Menilmontant, ulica Chemin-Vert, nr. 34... Przyjaciel mój Otto potwierdzi, że jest tak blondynką, jak i piękną, godną tych pasterek, które zasiadały na tronie...

Oświadczenie to rozproszyło niepokój, jaki ciążył na wszystkich gościach od początku obiadu.

— All right, my dear! — zawołała Sminta de Fradesy, udając Angielkę, chociaż była Hiszpanką.

Kapitan mówił dalej:

— Spodziewałem się, że dzisiaj wieczorem będę mógł przedstawić wam moją narzeczoną... na nieszczęście sprawa nie postępuje tak szybko, jakbym tego pragnął... i muszę wyznać, że jeszcze na razie panna Żaneta Levasseur nie chce zostać hrabiną Fraskopelly...

— Wymagające dziecko! — odezwała się Róża Tremiere.

— Mój drogi hrabio — rzekł wtedy Reginald Farweth — przegrał pan w takim razie zakład... niech pan zapomni tę małą, kiedy pana nie chce... niech mi pan wierzy, że to będzie najroztropniejsze...

Oficer zwrócił się do Amerykanina.

— Zbyt krótko jest pan w Paryżu, by pan mógł mnie dobrze znać... w przeciwnym bowiem razie wiedziałby pan, że ja się przed niczem nie cofam... czyż sądzi pan, że należy wstrzymać się wobec takich trudności?... zdanie podobnych dziewcząt nie ma znaczenia... nie zwraca się na nie uwagi... dzięki Bogu, dodał ze złośliwym uśmiechem, mamy dosyć środków, by złamać ten upór!...

— Jakież one są? — zapytał obojętnie Reginald Farweth.

— Proszę Państwa, ponieważ nasz przyjaciel zdaje się wątpić w to, co ja mówię, więc zaraz dam dowód...

Wyjął z kieszeni zegarek:

— Jest obecnie pół do jedenastej... w chwili tej panna Żaneta Levasseur oddaje robotę na drugim końcu Paryża, jednej z mych znajomych, która postara się zatrzymać ją u siebie do północy... wtedy ulice będą już puste... w powrotnej drodze niedaleko jej mieszkania będą czekali opłaceni przezemnie ludzie... samochód mój już tam jest gotowy...

Zuzanna Dervanne klasnęła w ręce:

— Porwanie!

— Przekonywa się więc pan, drogi przyjacielu, dodał hrabia, zwracając się do stojącego spokojnie Amerykanina, że nie jest tak trudno zdobyć to, czego się pragnie...

Potem, biorąc ze stołu kieliszek szampana, podniósł go do góry:

— Moi przyjaciele, proponuję toast za zdrowie panny Żanety Levasseur, mojej narzeczonej...

Wszyscy powstali z napełnionymi kieliszkami. Trącano się szumnie przez stół wśród ogólnej wesołości.

— Wiwat! — zawołał książę Visconti.

— Wiwat! Hip! Hip! Hurra! — powtórzyli wszyscy współbiesiadnicy.

Lecz w chwili tej nagle zgasła elektryczność. Pokój pogrążył się w ciemnościach.

— Ach! — zawołał Otto de Schlakemburg — także odpowiednia chwila... cóż to za kiepski dowcip!

— To krótkie spięcie! — wytłomaczył Vaintrailles.

Donośny głos pułkownika Poziabeneff zagłuszył ogólny hałas:

— Panowie... Panowie...



Zebrani ujrzeli przed sobą przerażający widok.

Nie miał czasu mówić. Rozległy się dwa strzały rewolwerowe, przecinając ciemności błyskami ognia.

Zerwały się krzyki... powstał tumult... przewracano krzesła... tłukły się kieliszki... Kobiety mdlały... Panowie szukali drzwi...

Trwało to minutę. Potem nagle zajaśniała elektryczność. Zebrani ujrzeli przed sobą przerażający widok.

Na stole, przechylony naprzód, leżał kapitan Fraskopelly. Z ran płynęła obficie krew, znacząc się na obrusie wielkiemi, czerwonemi plamami. Koło niego leżał rewolwer.

Pospieszono do attaché, podniesiono go, był już martwy...

Dramat ten wywołał nazajutrz w opinii publicznej silne wrażenie. Sądzono ogólnie, że kapitan popełnił samobójstwo. W tym niezwykłym zakładzie widziano tylko zręczny i elegancki sposób skrycia istotnych pobudek śmierci. Przypomniano sobie niedawne odwołanie młodego attaché. Łatwo to wszystko można było połączyć z jakąś sprawą przeciwobyczajową lub skandalem miłosnym. Wszystkie te jednak fantastyczne hipotezy zburzył raport lekarza. Kształt ran w czaszce wskazywał na to, iż oficer został zamordowany. Lecz przez kogo? Wszyscy obecni na tym rozgłośnym obiedzie nie podlegali najmniejszym podejrzeniom. Utrzymywali zresztą z nieszczęśliwym kapitanem serdeczne stosunki. Żadnej miłosnej rywalizacyi nie było między nimi. Wszyscy żywili dla niego szczerą sympatyę. Jednem słowem w nikim z obecnych nie można było dopatrzeć się jakiejkolwiek pobudki do tego zabójstwa. Ponieważ w czasie zbrodni w pokoju nie było nikogo ze służby, przypuszczaćby należało, że ktoś obcy tam się wślizgnął. Lecz jeżeli on wszedł, gdy światło elektryczne jaśniało, wtedy widzianoby go, jeżeli zaś wszedł, gdy było ciemno, zdradziłoby go światło z korytarza przy otwieraniu drzwi.

Należało więc przyznać, że strzały zostały dane przez kogoś z obecnych. Z której strony?

Zdziwienie i ogólne wzruszenie nie pozwoliły tego zauważyć, nikt też nie mógł dać co do tego odpowiedniej wskazówki. Broń znaleziona przy zwłokach nie dowodziła niczego. Był to kieszonkowy rewolwer dość znacznego kalibru, sprowadzony wprost z Ameryki, jak na to wskazywała wyryta firma: Stevenson's, New-York. 12.234.

Czyż z tego można było wnioskować, że należał on do Reginalda Farwetha, jedynego Amerykanina wśród obecnych? Naiwnem byłoby tak utrzymywać. Zresztą wielu z nich było w Ameryce. Książę Visconti był sekretarzem ambasady. Książę Vaintrailles tam się ożenił. Sminta de Fradesy podróżowała niedawno po Ameryce. A Róża Tremiere odbyła tam *tournée* artystyczne w zeszłym roku.

Podobny rewolwer z marką amerykańską można było nabyć i w Paryżu. Numer zaś wyryty na lufie nie dawał żadnych wyjaśnień, bo chociażby i było zapisane w fabryce nazwisko kupującego, to rewolwer ten mógł już się znajdować w dziesiątych rękach. Przytem zabójca kapitana musiał być zbyt roztropny, by używać rewolweru, o którym wiedziano, że jest jego własnością.

Dyrektor policyi upatrywał pewną łączność w ucieczce baronowej z zabójstwem kapitana. Może piękna Rosyanka miała w tem swój ukryty cel, by zgładzić niebezpiecznego wspólnika lub groźnego świadka? Rewizya w mieszkaniu u attaché bez wątpienia wykryłaby wiele szczegółów, ze względu jednak na prawa międzynarodowe, które nakazują uważać mieszkania członków misyi dyplomatycznej za nietykalne, nie można było tego uczynić.

W tych warunkach było zupełnie naturalne, że Lapipe, który znał już sprawę w hotelu pod „Nadzieją“ i przeprowadził akcyę maskaradową na balu ambasady chińskiej, miał poleconą do zbadania i tę aferę. Inspektor nie mógł darować sobie, że nie schwytał ani domina, ani mandaryna, a gniew jego wzmógł się jeszcze, gdy po powrocie do domu znalazł w kopercie zamiast pieniędzy skrawki papieru. W istocie więc zakpiono z niego!

Jest więc w Paryżu człowiek, który nietylko wymyka mu się z rąk, ale nawet drwi sobie z niego. Myśl ta wyprowadzała go z cierpliwości. Może to Newton urządza mu takie kawały? Lecz przecież już wyjechał! Inspektor przysiągł sobie, że dotąd nie spocznie, dopóki nie pochwyci zabójcy kapitana.

Jaka była pobudka zbrodni i kto strzelał? na te dwa pytania należało znaleść odpowiedź. Z głową opartą na rękach spędzał Lapipe długie godziny nad papierem, na którym miał naznaczone miejsca obecnych, guziki od przewodów elektrycznych i kierunek, w jakim szły strzały. Pomimo mozolnych rozmyślań nie mógł w żaden sposób dojść do tego, kto zdolał i w jaki sposób zagasić światło, strzelać do kapitana i znowu odkręcić niepostrzeżenie elektryczność. Brał pod uwagę każdą osobę po kolei, nikt jednak nie mógł z taką szybkością dokonać tych trzech rzeczy.

To tylko było pewne, że nieszczęśliwy Fraskopelly został zabity z pewnej odległości, gdyż na włosach nie miał żadnego śladu spalenizny od prochu.

Jeżeli ten nieznany trafił po ciemku z kilkumetrowej odległości, musiał się odznaczać niezwykłą celnością i wielkim zasobem zimnej krwi.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. „Świteź", Częstochowa.

Wystawa w Częstochowie: Uczestnicy przyjęcia w Kruszynie z O. Rejmanem (X) pośrodku.

Wystawa w Częstochowie.

Ludzie dobrej woli a obdarzeni odpowiednim zasobem energii, doprowadzili w Królestwie polskiem do skutku dzieło wielkiej wagi pod wieloma względami, a mianowicie wystawę przemysłową i rolniczą w Częstochowie, której otwarcie nastąpiło w dniu 5 b. m.

Wystawa przedstawia się imponująco. Zajmuje ona przestrzeń 47 morgów, a wzięło w niej udział przeszło tysiąc wystawców. Niestety Galicya świeci zupełną prawie nieobecnością w tym turnieju kulturalnym, bo aż... dwie firmy galicyjskie zgłosiły swe eksponaty na wystawę częstochowską. Natomiast z Poznańskiego stawiło się przeszło dwudziestu wystawców. Czesi okazali wielkie zainteresowanie się wystawą i firmy czeskie w liczbie 150 obesłały ją starannie, zwłaszcza w dziale maszyn wszelkiego rodzaju. Wycieczka zaś czeska, zdążająca do Częstochowy i Warszawy, a o której pobycie w Krakowie piszemy na innem miejscu — dowodzi, że Czesi łączą ze zwiedzeniem wystawy nietylko cele praktyczne.

Prezesem i głównym inicyatorem wystawy u stóp Jasnej Góry jest Stefan ks. Lubomirski z Kruszyny, wiceprezesami są: Karol hr. Raczyński i p. Małkowski, dyrektorem zaś — inżynier Alfons Bogusławski.

* * *

Otwarcie wystawy dnia 5 sierpnia rozpoczęło się solennem nabożeństwem w kościele Jasnogórskim, odprawionem przez generała Paulinów i przeora tamtejszego klasztoru, O. Rejmana, który także pierwszy przemawiał przy bramie wystawy. Następnie zabrał głos ks. Lubomirski, poczem jego żona przecięła symboliczną wstęgę, zamykającą wejście na wystawę. Przy uroczystości tej obecny był wojenny generał-gubernator z Łodzi, gen. Kaznakow, który w krótkich słowach oświadczył, że otwiera wystawę.

Stosownie do swej nazwy, wystawa częstochowska ma podwójny charakter. Oprócz tego jednak postarano się tutaj także o stronę dydaktyczną, a to ze względu na przybywające właśnie w tym czasie do Jasnej Góry tłumy pątników, przeważnie włościan. W tej części wystawy spotykamy budowle instytucyj publicznych, wystawione w celu pouczenia mas ludowych. Budynki te zostaną na stałe i dlatego są murowane, podczas gdy reszta budynków wystawowych wzniesiona jest z drzewa. Na szczególną uwagę zasługuje murowana „chata wzorowa" wraz z kompleksem zabudowań gospodarczych i ogródkiem warzywnym.

Podnieść także trzeba bardzo mądre postanowienie komitetu wystawy, że nie sadził się na urządzenie zbyt wielu miejsc rozrywki dla zwiedzających. Doświadczenie bowiem uczy, że takie miejsca odciągają zwykle gości od właściwego celu ich przybycia a mianowicie zwiedzania samej wystawy i wyciągania stąd odpowiednich korzyści.

Ryciny nasze, podane w niniejszym numerze, przedstawiają: scenę otwarcia wystawy, gdy przemawia ks. Lubomirski, ogólny widok placu wystawowego, pawilon główny przemysłu wielkiego i średniego, uczestników przyjęcia u ks. Lubomirskiego w Kruszynie, oraz bankiet dla gości wystawowych.



Fot. „Świteź", Częstochowa.

Wystawa w Częstochowie: Przemówienie Stefana ks. Lubomirskiego podczas otwarcia wystawy.



Fot. „Świteź", Częstochowa.

Wystawa w Częstochowie: Bankiet dla gości wystawowych w pałacu ks. St. Lubomirskiego w Kruszynie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Nareszcie pogoda. — Czyją ona zasługą? — Wycieczka do Mogiły i Zakopanego. — W Poroninie otrzymuję palmę męczeńską. — O tak zwanych rampach kolejowych. — Troskę samochwalstwa. — Do wiadomości pań Dulskich. — Czesi w Krakowie. — Krakowskie toasty a czyny Koła Polskiego. — Zmiana gabinetu i jej skutki dla Galicyi. — Petryckiego przygoda. — Wyciąg z polityki zagranicznej).

Pokazuje się, iż narzekania i reklamacye we właściwym czasie i pod właściwym wniesione adresem, odnoszą zawsze pożądany skutek. Tak ma się rzecz i z mojemi kilkakrotnemi stękaniami nad zmiennością aury i interpelacyą do niebieskiego referenta od pogody i temperatury. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniło się w jednej chwili, po deszczu i zimnie mamy pogodę i upał. Przeciętny Krakowianin, mogący się poszczycić co najmniej stu kilogramami żywej wagi, ucieka w sklepione zacisza krakowskich piwiarni i tu, obcierając kroplisty pot, jaki ciurkiem leje się z jego wysokiego czoła, pomstuje na tego, kto wynalazł gorąco. Ze względu, iż ciągle nawołują nas do życia hygienicznego, stara się też każdy zrównoważyć ubytek wody w swym organiźmie odpowiednią ilością świeżo doprowadzonych płynów, między którymi w bieżącym tygodniu prym trzymał pilzner. Trenowaliśmy się, by przyjazd braci z nad Wełtawy nie zastał nas nieprzygotowanych. Niema się temu i co dziwić, dziś taka już cały świat ogarnęła gorączka sportowa, iż każdy ćwiczy się, jeden w jeździe balonem, inny w auto, inny wreszcie na rowerze, a każdemu przyświeca zdala jeden ideał: mistrzostwo światowe. Dlaczegóżby więc, używając naszego c. k. ojczystego języka, *unser einer* miał być gorszym? Skoro nie możemy inaczej, starajmy się o mistrzostwo światowe, choćby na polu naszej krajowej a uprzywilejowanej propinacyi, będziemy mieć z tego my przyjemność, a kraj i rząd pożytek.

Zachodzi teraz pytanie, czyją zasługą jest owa pogoda i upał, moją, który o nią przez parę tygodni kołatałem, a wiadomo, że cierpliwość jest jedną z najpiękniejszych cnót, czy też komitetu przyjęcia Czechów, który się o nią w drodze urzędowej postarał. Ze względu na znane oddalenie nieba od ziemi jestem prawie pewny, że dopiero moje kołatania tam doszły, przypomnienie zaś urzędowe komitetu jest jeszcze w drodze. Jeśli zaś w niebiesiech zalatwiają „kawałki" wedle tego, jak wpłyną do dziennika podawczego, pochlebiam sobie, że uwzględniono moje żądania, na podanie komitetu nadejdzie odpowiedź w swoim czasie, to jest, biorąc miarę ze stosunków galicyjskich, prawdopodobnie gdzieś w grudniu, jeśli *nota bene* nie zwrócą jeszcze kilkakrotnie aktów celem uzupełnienia ich nowymi załącznikami.

W każdym razie pogoda jest! Skorzystałem więc i ja z niej skwapliwie i mając do wyboru dwie przyjemności: wycieczkę do Zakopanego lub podróż statkiem parowym do Kopańca pod Mogiłą, wybrałem pierwszą, już dla tej okoliczności, iż tam niema mojej żony.

I pokazało się, że miałem racyę. Jeden z moich znajomych, który na falach królowej rzek polskich pożeglował do Mogiły, narzekał po powrocie i klął, na czem świat stoi. W drodze na parostatku wygnieciono go do tego stopnia, że chciał wypocić duszę, na miejscu o mały figiel nie zginął z głodu i pragnienia. Zirytowany, wybrał się piechotą do Czyżyn, miał jednak tak czarnego pecha, iż o pięć minut spóźnił się do pociągu i musiał *per pedes apostolorum* dymać do Krakowa. Jest to umartwienie o wiele przyjemniejsze w wielkim poście, niepożądane jednak wcale w czasie wakacyjnego upału.

Pełen dobrej myśli umieściłem swe grzeszne cielsko w wagonie kolei państwowej i pociągiem, na który w każdą sobotę wszystkie małżonki z taką oczekują niecierpliwością, powędrowałem w stronę Zakopanego, ciesząc się już w myśli zabawą, jaka mnie czeka. Niestety, przerachowałem się i ja nieco. Bawiłem się wprawdzie w samem Zakopanem i Poroninie bardzo dobrze, o mały figiel jednak nie zdobyłem palmy męczeńskiej, do której, mówiąc nawiasem, na razie wcale nie wzdycham. Byłoby to nawet bardzo przyjemnie dla Świętych Pańskich, gdyby w ich gronie znalazł się nagle kronikarz i humorysta (a takiego tam dotąd niema, o ile znam kalendarz), sądzę jednak, iż byłbym zasmucił liczne grono Szanownych Czytelników, z którymi przecież wspólnie myślę i czuję, dla których dobra i rozweselenia skierowane są wszelkie moje wysiłki.

Rzecz się tak miała. Już w Zakopanem chciał przejechać moją cielesną powłokę jakiś szybko pędzący automobil, miałem jednak czas uskoczyć na bok. Wprawdzie przy tej sposobności o mało co nie nabiłem się na wystającą na pół metra z jakiegoś damskiego kapelusza secesyjną szpilkę, wyszedłem jednak cało z tej opresyi i tem się zupełnie nie chwalę, gdyż na podobne przygody każdy mieszkaniec większego miasta, gdzie są automobile i damskie modne kapelusze, ciągle jest narażony. Daleko jednak gorzej było w Poroninie! W liczniejszem towarzystwie wracaliśmy furką z wycieczki i zupełnie spokojnie, w samem centrum owego letniska wjechaliśmy na tor kolejowy, aby zdążyć do dworca. Noc była ciemna, sygnałów ostrzegawczych żadnych, byliśmy więc pewni, iż nic nam nie grozi. Gdyśmy byli właśnie w połowie toru, który w tem miejscu się zagina, nagle z poza wału wysunęła się lokomotywa i gdyby nie przytomność umysłu powożącego górala, który zaciął konie, i ja i moi towarzysze bylibyśmy powiększyli liczbę męczenników, których pamiątkę obchodzonoby uroczyście corocznie w dniu 8 sierpnia, jako w dniu ich męczeństwa. Wystarczyło kilka sekund, a byłoby po wszystkiem!

Na dworcu w Poroninie zapytaliśmy ciekawie, czy wynalazki z ubiegłego stulecia, zwane zamykanemi rampami kolejowemi, nie są tu znane, oświadczono nam jednak, że na całej tej przestrzeni, t. j. od Chabówki do Zakopanego, ramp niema, są natomiast słupy z napisami: Baczność na pociąg! Wzrusza mnie ta troskliwość zarządu kolejowego o całość przejeżdżających lub przechodzących tamtędy, ale sobie znowu myślę, iż nie jest to wystarczającem, w tak uczęszczanem miejscu, jak właśnie ów przejazd w Poroninie, boć w nocy słupa owego, ani zbliżającego się pociągu często nie widać. Dawniej, gdy lokomotywy gwizdały, był to dobry znak ostrzegawczy, dziś, gdy im tej przyjemności zakazano, suną cicho i zagrażają ludzkiemu bezpieczeństwu. Opowiadano mi w Poroninie, iż w bieżącym roku jest to już czwarty wypadek w tem miejscu. Trzy poprzednie skończyły się gorzej, kazano mi się więc uważać szczęśliwym, iż wyszedłem bez szwanku, tylko z przestrachem.

Ha, skoro tak powiadają, to jestem rzeczywiście zadowolony, bo mi wiele do szczęścia nie potrzeba, myślę jednak, że i kolej powinna podskakiwać z radości (niestety czyni to i tak na kiepskich progach), iż wyniosłem z tego zajścia nienaruszoną powłokę, gdyż w razie katastrofy byłaby musiała zapłacić za mnie parę milionów. Moja żona nie byłaby się zapewne ubiegała o odszkodowanie za stratę męża, gdyż od dawna powiada, że jestem do niczego, wydawnictwo jednak „Nowości Illustrowanych", zażądałoby go było z pewnością, tracąc tak znakomitą siłę, jaką ja jestem! Nie lubię się chwalić, ale mimochodem muszę wspomnieć, iż od roku otrzymałem przeszło dwie kopy listów miłosnych od panien w wieku od lat 14 do 59, które przeczuwając, iż jestem kawalerem, w „dank" za piękne kroniki ofiarowują mi rękę i serce. Na te pokusy jestem nieczuły, mam dwie ręce i te mi wystarczą, trzeciej nie potrzebuję, serca pod żadną postacią nie lubię, wolę flaczki, nerki lub wątróbkę. To jednak jeszcze nic! Otrzymałem nadto kilka listów od mężczyzn, pełnych wynurzeń miłosnych i posądzających mnie, iż pisząc, tylko udaję mężczyznę, w rzeczy zaś samej jestem kobietą, co można poznać z delikatności uczuć, zdobiących moje kroniki. Niestety, mylą się owi panowie. Na dowód, że jestem mężczyzną mogę im służyć metryką chrztu, wystawioną zupełnie formalnie.

Wracając jednak do owej przygody w Poroninie jestem pewny, iż wielu naszym paniom Dulskim, skoro ją przeczytają, nadarzy się sposobność do oburzania się na przewrotność tego świata. Oho! to palec karzącej sprawiedliwości Boskiej! — powie z nich niejedna — kto wie, co to było za towarzystwo, które późno w nocy wracało! Niebiosa chciały pomścić oszukiwanie biednej żony przez niewiernego słomianego wdowca, a jeśli marnie nie zginął, to tylko dowód, że Bóg wysłuchał jej próśb, które codziennie zanosi na jego intencyę, a chciał go ostrzedz, by, póki czas, cofnął się z drogi nieprawości, po której chadza! — Niech się jednak uspokoją czcigodne moralistki, całe nasze towarzystwo, składające się z sześciu osób i woźnicy, należało do rodzaju męskiego.

W podobny, jak ja sposób, z ciepłego i ładnego powietrza korzystało bardzo wiele osób, skazanych na pobyt w mieście, w czasie wakacyjnym. Na niedzielę opustoszał Kraków, kto nie mógł dalej, spieszył choć do Parku Jordana lub Krakowskiego ogrodu, aby, o ile gorąco na to pozwoli, odetchnąć świeżem powietrzem. Część ojców miasta pozostała, radząc nad godnem przyjęciem braci Czechów, którzy w poniedziałek przybyli do Krakowa. Na ich przyjęcie udekorowano domy flagami i przygotowano wiele mówek i toastów, mających zadokumentować jedność ludzi słowiańskich, zamieszkujących kraje austryackie. Najpiękniej ideę tę pojęli niektórzy obywatele z Kazimierza, którzy w imię owej jedności wywiesili ze swych okien czarno żółte chorągwie.

Przyjęcie, jak skądinąd Szanowni Czytelnicy już wiedzą, wypadło bardzo poważnie i uroczyście, dziwnie jednak odbijały mowy, wygłoszone w Krakowie a wzywające do łączenia się przeciw wspólnemu wrogowi, grożącemu od Zachodu, od czynów reprezentacyi polskiej we Wiedniu, która przemyśliwa o sojuszu z Niemcami, contra większości słowiańskiej. Sojusz Polaków i Niemców przypomina zupełnie owe znane z bajki, umizgi lisa do gęsi, lub przyjaźń psa i kota, boć wiadomo, że jak ogień i woda nie mogą się znieść wzajemnie, tak też rozchodzą się interesy Polaków i germańskiej nacyi, nie mające i nie mogące mieć nic ze sobą wspólnego. Sztuczny sojusz, zlepiony na jakiś czas, choć na oko przedstawia się może korzystnie, w skutkach swoich musi być opłakany.

Dziwi mnie też niepomiernie, iż nasi wielcy politycy, zamiast używać wywczasów wakacyjnych, choćby nawet na kredyt, gdy im dyet odmówiono, dobrowolnie skazują się na pobyt we Wiedniu, gdzie gorąco musi przecież ujemnie oddziaływać na ich umysły. Jak fama niesie, rozchodzi się obecnie o przewietrzenie gabinetu barona Bienertha, a tego przedsiębiorstwa podjęła się spółka pod kierownictwem dra Głąbińskiego. Według projektu ustąpić mają ministrowie skarbu, sprawiedliwości i robót publicznych, aby zrobić miejsce dla mężów przyszłości i powiększyć liczbę ministeryalnych emerytów, co do których Austrya uzyskała już rekord światowy. Nas ta zmiana obchodzi o tyle, iż miejsce dra Bilińskiego, który, jak sam powiada, ma spakowane kufry, bo nie jest pewny ani dnia, ani godziny, ma zająć podobno obecny namiestnik, ekscelencya Bobrzyński. Zawakowałaby więc wówczas posada namiestnika dla Galicyi, którą w imię słuszności powinno się ofiarować któremuś z ruskich mężów stanu. Kandydatów jest dość, jeśli bowiem nie nadawałby się ataman Siczowników pan Kiryło Tryl, lub obdarzony pięknym głosem Budzynowski, z ufnością możnaby rządy zachodniej Ukrainy (tak nazywa się wschodnia część Galicyi w geografii hajdamackiej) powierzyć panu Petryckiemu, który przecież niedawno na rynku w Kopyczyńcach pasowany został na rycerza przez profesora tamtejszego ukraińskiego prywatnego gimnazyum. Pomiędzy rodakami przyszło do wymiany czułości z powodu honoraryum. Pan Petrycki, jako widoma głowa owej szkoły, wypłacił p. Chomikowi za wiele, a ten zwrócił mu zaraz resztę, ku ogólnemu zadowoleniu kopyczynieckiego mieszczaństwa wszelkiej narodowości i wyznania, którzy ryczeli z radości, widząc w jakiej pan poseł jest opresyi. Nic to jednak nie przeszkadza, że choć się pobili publicznie, pan Petryćkij może bardzo ładnie pokierować sprawami kraju i raz przecież, jako namiestnik zrobić porządek z Lachami, bez których się w Galicyi obejdzie. W takim razie kierownictwo krajowej sprawiedliwości powinienby objąć Siczyński, komendę wojsk narodowych dr. Tryl. a jestem pewny, że pod rządami tej trójcy Galicya stałaby się z czasem sławnym krajem, sławniejszym nawet, niż Serbia lub Czarnogóra.

To są horoskopy na przyszłość, czy jednak się spełnią, tego na pewne powiedzieć nie mogę. Konferencya przewódców stronnictw w Wiedniu odbędzie się dopiero dnia 17 sierpnia, a tymczasem nie można się nic konkretnego dowiedzieć, gdyż telefon Kraków-Wiedeń, jak zwykle nie funkcyonuje. W każdym razie można się spodziewać, iż jesienna sesya Rady państwa zastanie już gabinet dra Bienertha odświeżony po raz trzeci.

Aby wreszcie nie stracić z oczu wątka europejskiej polityki należy zaznaczyć, że rok bieżący nawet w czasie ogórkowym zostaje ciągle pod znakiem Marsa i Bellony. Austrya, która, jak wiadomo, ma szczęśliwą rękę, zrobiła dobry początek na wiosnę ze Serbią. W ślad jej idą obecnie i Turcya i Grecya, Hiszpania i Kabyle, Japonia i Chiny, Bolivia i Argentyna, zespół, jakiego niejeden tancmistrz może pozazdrościć. Największy kłopot możemy mieć chyba z zatargu Turcyi z Grecyą o Kretę, a położenie staje się tam coraz drażliwsze, odkąd reszta Europy zaczyna się mięszać do sporu i występować w roli uczciwego pośrednika. Wiadomo zaś, co znaczy takie pośrednictwo, że jest to włożenie kija w mrowisko, bo godzącym właśnie o to chodzi, aby zapaśnicy wzięli się za bary, można bowiem przy tym ogniu upiec pieczeń i dla siebie. *X.*

Polskie Towarzystwo emigracyjne.

(Do illustracyj na stronie 9 i 10)

Przed paru miesiącami powstał w Krakowie, a raczej został tu ze Lwowa przeniesiony, nowy warstat pracy społecznej, mianowicie Polskie Towarzystwo emigracyjne.

Wiadomo powszechnie, że kwestya wychodźtwa jest dziś jedną z najbardziej piekących ale i najbardziej może zaniedbanych w naszym kraju. Galicya, kraj na wskróś rolniczy, pozbawiony prawie zupełnie przemysłu, nie może wyżywić wszystkich swych mieszkańców, którzy też masami wędrują rok rocznie po zarobek i chleb bądź na sezon robót polnych do krajów sąsiednich, zwłaszcza do Prus, gdzie brak rąk roboczych do uprawy roli, bądź daleko za Ocean, na stały pobyt. Emigranci nasi padają przytem często ofiarą ajentów rozmaitego rodzaju, szukających zarobku, choćby nieuczciwego. Ponadto gubią się w morzu obcych ludów, i pozbawieni przeważnie opieki, przepadają niepowrotnie dla swego narodu.

Emigracya taka przynosi też nieobliczalne szkody i straty społeczeństwu.

Zaradzić temu ma wspomniane właśnie Polskie Towarzystwo emigracyjne, zawiązane w ubiegłym roku we Lwowie z inicyatywy redaktora *Polskiego Przeglądu emigracyjnego*, Józefa Okołowicza, a na wiosnę tego roku przeniesione do Krakowa. Instytucya ta, choć co do celów na wskróś filantropijna, jest pod względem formy oparta na podstawach handlowych. W zakres czynności jej wchodzą cele humanitarne i oświatowe, a więc opieka nad wychodźcami, bezpłatne pośredniczenie w dostarczaniu pracy tysiącom naszych robotników, wysyłanie ich za granicę, względnie do Ameryki, w warunkach możliwie najkorzystniejszych, pomoc wogóle moralna i materyalna. Ponadto zaś udziela biuro towarzystwa bezpłatnie porady prawnej i informacyi we wszelkich sprawach odnoszących się wychodźtwa, pośredniczy w nabywaniu gruntów po powrocie z obczyzny itd. W najbliższym czasie obejmie też biuro sprzedaż kart okrętowych oraz wymianę pieniędzy. Za żadne swe czynności nie pobiera biuro towarzystwa od wychodźców żadnych opłat.

Dalszym celem towarzystwa emigracyjnego będzie utrzymywanie stałego kontraktu między ojczystym krajem a milionami wychodźców na obczyźnie.

Na czele towarzystwa stoi rada nadzorcza, w skład której wchodzą przedstawiciele najsilniejszych stronnictw politycznych. W ten sposób zapewniono temu towarzystwu bezpartyjność. Prezesem rady nadzorczej jest poseł dr. Jan Hupka.

Dotąd ma towarzystwo dwa biura, z których jedno jest w Krakowie a na czele jego stoi redaktor Józef Okołowicz, drugie (filialne) we Francyi w Soisson, pod kierownictwem p. Artura Latige de Mirandel.

Działalność polskiego towarzystwa emigracyjnego jest już dziś bardzo żywa i owocna. Ostatnim



Fot. „Świteź“, Częstochowa.

Wystawa w Częstochowie: Pawilon główny przemysłu wielkiego i średniego.



Czesi w Krakowie: Ludność Wieliczki z burmistrzem Aywasem (X) oraz część uczestników wycieczki czeskiej na dworcu w Wieliczce. 1. wiceprezydent Izby posłów Zazvorka; 2. sekretarz komitetu dr. Hlavaczek z Pragi.

donioslym czynem tej instytucyi jest wysyłka przeszło 1000 polskich górników z Zagłębia Dąbrowskiego i ze Śląska do kopalni rudy żelaznej w Tucquegenieux we Francyi. Kopalnie te, własność wielkiego towarzystwa akcyjnego, postanowiła sprowadzić po raz pierwszy robotników polskich. Warunki, jakie polscy górnicy tam otrzymają, są bardzo korzystne.

Wyjazd górników polskich do Francyi nastąpił w ubiegłą sobotę wieczorem z Oświęcimia. Rycina nasza przedstawia grupę wychodźców, na godzinę przed odjazdem, zebranych w pobliżu dworca kolejowego w Oświęcimiu. Druga rycina przedstawia wnętrze biura tow. emigracyjnego w Krakowie przy ul. Kolejowej l. 3. wraz z personalem urzędniczym.



Fot. „Świteź“, Częstochowa.

Wystawa w Częstochowie: Zwiedzenie placu wystawy. Generał Kaznakow (X) z księżną Stefanową Lubomirską pod rękę.

Czesi w Krakowie.

Zapowiedziana od paru tygodni wycieczka Czechów do Polski, przybyła wreszcie w tym tygodniu do Krakowa. Trudno nam, gospodarzom, wydawać sąd o tem, jak przyjęcie miłych gości z nad Wełtawy wypadło. Można jednak powołać się na słowa wielu Czechów, którzy nie mieli dość słów na określenie wdzięczności za serdeczną, szczerą gościnność, jaka ich spotkała od samych granic ziemi polskiej.

Bo już na granicy Galicyi rozpoczęły się owacye na cześć naszych pobratymców, a to w Oświęcimiu, gdzie na powitanie ich wyszła na dworzec kolejowy reprezentacya gminy, oraz miejscowe korporacye, a nadto mnóstwo publiczności. Powtórzyło się to i na innych stacyach przed Krakowem.

Najwspanialej jednak wypadło powitanie Czechów w samym Krakowie, który choć zwykle zimny i obojętny, tym razem wystąpił z nadzwyczajną szczerością i na każdym kroku manifestował radość i serdeczność. Miasto przybrało odświętny wygląd, mnóstwo domów udekorowano chorągwiami o barwach czeskich i polskich, a na dworcu i placu dojazdowym zebrały się takie tłumy, iż miejsca brakło na przejście.

W chwili gdy pociąg z Czechami zajechał na dworzec, rozległy się dźwięki narodowego hymnu czeskiego „Kde domov moj“, wykonanego przez orkiestrę salinarną z Wieliczki, a równocześnie zagrzmiała burza oklasków i gorących okrzyków „Na zdar“. W czasie tej owacyi wysiadło około 200 Czechów, w tem kilkadziesiąt pań, z wagonów i udało się do pięknie udekorowanej sali restauracyjnej na dworcu, gdzie odbyło się oficyalne powitanie drogich gości przez komitet krakowski z wiceprezydentem dr. Szarskim na czele. Z dworca udali się Czesi do swych kwater w hotelach i pensyonatach, witani po drodze przez tłumnie zebraną publiczność krakowską.

Następnego dnia, tj. we wtorek rano, zebrali się wszyscy uczestnicy w mleczarni Dobrzyńskiej na plantach, skąd po śniadaniu rozeszli się grupami po mieście celem zwiedzenia osobliwości i pamiątek krakowskich.

Przed rozejściem się grup po rozmaitych stronach Krakowa, udali się wszyscy uczestnicy wycieczki gremialnie pod pomnik Mickiewicza na Rynku krakowskim i u stóp jego złożyli piękny wieniec wawrzynowy, a burmistrz Pragi dr. Grosz wyraził imieniem narodu czeskiego hołd naszemu nieśmiertelnemu wieszczowi.

Następnie część uczestników wycieczki, a mianowicie posłowie, członkowie rady miasta Pragi



Czesi w Krakowie: Uczestnicy czeskiej wycieczki na „dworcu Gołuchowskiego“ w podziemiach kopalni wielickiej.

i reprezentanci stowarzyszeń rękodzielniczych zebrali się o 12 w południe w sali przyjęć magistratu. Tam przemówił znowu burmistrz dr. Grosz, zwracając się do prezydenta dr. Lea, i podziękował bardzo serdecznie za gościnne, uroczyste przyjęcie wycieczki bratniego narodu. Prezydent dr. Leo przemówił także, dziękując Czechom za odwiedzenie Krakowa i wyrażając radość z powodu odwiedzin tak sympatycznych gości.

W południe odbył się wspólny obiad w towarzystwie strzeleckiem, gdzie wygłoszono szereg podniosłych mów i toastów, na pomyślny rozwój braterstwa obu narodów.

Zaraz po obiedzie ruszono osobnym pociągiem do Wieliczki, aby zwiedzić tamtejsze kopalnie soli. Na dworcu powitała gości reprezentacya gminy z burmistrzem Aywasem na czele, który serdecznie przemówił do przybyłych Czechów. Ich imieniem odpowiedział wiceburmistrz Pragi Jirouszek.

Nastąpił zjazd do kopalni. Zbyteczne dodawać, że prześliczne, pełne tajemniczego czaru i uroku podziemia wielickich kopalń, oświetlone wyjątkowo rzęsiście, wywarły na gościach olbrzymie wrażenie. Cuda przyrody, nagromadzone w Wieliczce, kaplice, groty, korytarze podziemne, bajeczne jezioro obok „dworca Gołuchowskiego“, wszystko to podobało się niezmiernie, z żalem też opuszczali Czesi podziemie kopalni, zmuszeni do rychłego powrotu do Krakowa, gdyż tam wieczór miało się odbyć na ich cześć uroczyste przedstawienie „Halki“ w teatrze miejskim.

Przedstawienie to, poprzedzone hymnem „Kde domov|moj“, wykonanym przez orkiestrę i cały personal opery lwowskiej wypadło doskonale, a huczne oklaski, jakimi Czesi darzyli solistów, były dowodem ich uznania.

Bezpośrednio po przedstawieniu odbył się w salach Starego Teatru bankiet, dany przez miasto na cześć gości. Zebranie miało nastrój bardzo serdeczny, który spotęgował się jeszcze po pięknych przemówieniach burmistrza Pragi dr. Grosza, prezydenta Krakowa dr. Lea, a zwłaszcza po prześlicznem, ogromnie głębokiem pod względem treści przemówieniu Włodzimierza Tetmajera. Do późnej nocy bawiono się ochoczo i wesoło przy dźwiękach wojskowej orkiestry, a tańce w kilkanaście par zakończyły miłe zebranie.

Ostatniego dnia pobytu w Krakowie, zwiedzali Czesi w dalszym ciągu pamiątki krakowskie, których mnogość i piękność oraz starożytność wielkie wywarły wrażenie. Popołudniu o godzinie 3 ruszyli gremialnie osobnym pociągiem do Częstochowy, gdzie zwiedzą tamtejszą wystawę, a następnie udadzą się do Warszawy.

Z dzienników warszawskich wiadomo, że zarówno komitet wystawowy w Częstochowie, jak lu dność Warszawy przygotowują w obu tych mia stach polskich bardzo gorące i serdeczne przyjęcie dla Czechów.

Spodziewać się więc można, znając gościnnoś



Czesi w Krakowie: Dziennikarze czescy, uczestnicy wycieczki do Krakowa.



Czesi w Krakowie: Uczestnicy wycieczki czeskiej u stóp kościoła św. Anny w Krakowie.

i serdeczność Warszawiaków, że Czesi wywiozą z Polski wspomnienie bardzo miłe i że ich pobyt całotygodniowy wśród nas, przyczyni się niemało do utrwalenia węzłów sympatyi i braterstwa między obu narodami.

Na pamiątkę pobytu Czechów w Krakowie dokonaliśmy w ciągu obu dni szeregu zdjęć fotograficznych, zarówno w Krakowie, jak w Wieliczce. Znajdą więc Czytelnicy nasi ogólną grupę uczestników wycieczki, dalej grupę dziennikarzy czeskich z wybitnymi wśród nich osobistościami, red. Hovorką, Hewerą i drem Pruszikiem, grupę członków rady miasta Pragi, do których przyłączyli się członkowie rady miejskiej krakowskiej, wiceprezydent dr. Szarski i dyr. Doboszyński, oraz radni miejscy ze Lwowa, A. Lewicki i dr. Olszewski, następnie grupę komitetu krakowskiego, który zajmował się przyjęciem Czechów, wreszcie zdjęcia okolicznościowe uczestników wycieczki na dworcu w Wieliczce i w podziemiach kopalni. To ostatnie dokonane przy sztucznem oświetleniu.

Głosy publiczne.

Sanatoryum dra Dłuskiego w Zakopanem. Dnia 8 sierpnia odbyło się w Zakopanem w Willi prof. Baranowskiego pod przewodnictwem prof. Wicherkiewicza walne zgromadzenie członków stowarzyszenia sanatoryum dla chorób piersiowych w Zakopanem; po uczczeniu przez powstanie pamięci zmarłych prezesa i wiceprezesa Rady nadzorczej Konttantego hrabiego Potockiego i Adama hr. Krasińskiego i przystąpiono do obred. Sprawozdanie dra Dłuskiego Kazimierza wykało słabo postępujący rozwój zakładu, zarówno pod względem leczniczym jak frekwencyi pacyentów. Po załatwieniu wszelkich formalności i potwierdzeniu bilansu oraz budżetu, wyrażono gorące podziękowanie doktorom Kazimierzowi i Bronisławowi Dłuskim za ich niestrudzoną pracę dla dobra Zakładu.

Kalendarz jubileuszowy J. Słowackiego. Staraniem „Komitetu artystów teatru miejskiego“ dla budowy pomnika Juliusza Słowackiego we Lwowie wyjdzie już 15-go sierpnia 1909 r. Kalendarz jubileuszowy Juliusza Słowackiego na rok 1910 w nakładzie 30.000 egzemplarzy.

Kalendarz ten ukaże się w bardzo ozdobnem wydaniu, w oprawie jedwabnej kolorów białego, granatowego i amarantowego, z wytłoczoną na okładce apotezą Wieszcza. Zawierać będzie: Kalendaryum, notatnik na każdy dzień w całym rokn, życiorys Słowackiego, w najnowszem opracowaniu i wyjątki z najcelniejszych jego dzieł, te ostatnie w objętości pięciu arkuszy.

Kalendarz jubileuszowy będzie miłą pamiątką setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego i rozejdzie się we wszystkich trzech dzielnicach kraju po najdalszych zakątkach. Inseraty do Kalendarza jubileuszowego przyjmuje: Drukarnia p. Chęcińskiego, ul. Piekarska, Lwów po cenie za całą stronicę K 60, za pół stronicy K 35.

Zamówienia na kalendarz adresować: Komitet artystów, Teatr miejski Lwów.

Cały dochód z tego kalendarza przeznaczony na budowę pomnika Juliusza Słowackiego we Lwowie.

Pół roku zaledwie minęło, gdy dwu młodych ludzi zawiązało spółkę wydawniczą: **„Wisła“ w Krakowie**, spółkę mającą na celu jednoczyć sztukę polską wszystkich trzech zaborów i wypierać z naszego polskiego kraju pruską tandetę i pornografię, które na rynkach polskich zajmowały dotychczas wyłączne prawo zbytu.

Zmieniło się to od czasu, kiedy spółka wydawnicza: „Wisła“ wystąpiła z przepięknemi a taniemi bardzo reprodukcyami obrazów najsławniejszych polskich malarzy i dała przez to możność nawet najuboższym warstwom zapoznania się z rozwojem polskiej sztuki i kultury artystycznej i zastąpienia obcej tandety wytworem przemysłu krajowego, polskiego.

Młodzi wydawcy, którymi są pp. A. Stolarski i W. Zapała nie zwrócili się po ukończeniu studyów do zwykłej u nas karyery urzędniczej, lecz zabrali się ochoczo do żmudnej pracy na polu krajowego przemysłu i swemi artystycznemi wydawnictwami dowiedli, że w rękach polskich nie powinna się ostać ani jedna obca pocztówka a zwł. pruska, gdy tak **piękne a tanie pocztówki mamy wyrabiane w kraju!**

Pocztówki: **„Wisła“** są wszędzie do nabycia w cenie **14 hal. za sztukę.** Adres wyd.: **„Wisła“ Kraków, Karmelicka.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 31.

Łamigłówka historyczna: Wiśniowiecki, Epaminondas, Lubomirski, Lesander, Inocenty III., Napoleon, Garibaldi, Tytus, Ojama, Narses.

Arytmogryf: Sycylia, Baleary.

Łamigłówka: Kiedy klon wcześnie opada, ostrą zimę zapowiada.

Logogryf geograficzny: Budapeszt.

Szarada: Kołomyja.

Logogryf: Adam Mickiewicz.

Zadanie do przestawienia: Albo kapucyn, albo starosta.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: B. Berger Lwów, O. Górkowa Chyrów, L. Lemiszewski Kołomyja, M. Liskowacki Kraków, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Żarki, K. Fuchs Czeremchów, J. Ostersetzer Lwów, S. Lindenbaum Czerniowce, Z. Trzemeski Kielce, K. Jaskólski Warszawa, S. Krupski Łódź, F. Wolf Kraków, A. Dziewoński Przemyśl, H. Drzymuchowski Kraków, M. Bobrzyński Kraków, L. Reiter Stryj, O. Lewensohn Kraków, B. Malicki Kraków, J. Jahoda Cieszyn, R. Lewicki Zakopane, Lemański Warszawa, J. Rotter Rzeszów, F. Gebhardt Muszyna, J. Płaszecki Krynica, St. Zaremba Kraków, J. Łapiński Rzeszów, M. Osmulski Kraków, J. Kapliński Tarnopol, J. Pilecki Rzeszów, W. Weber Krosno, M. Potocka Kraków, J. Zabieszewski Bochnia, J. Rogoziński Lwów, M. Liskowacki Krosno, J. Wojciechowski i Z. Wiśniewski Lwów, B. Langer Kraków, J. Stepański Kraków, J. Dobrucki Kołomyja, M. Gabrysiewicz Ottynia, L. Babicki Kraków, J. Arnold Lwów, M. Sękowski Podgórze, S. Krzyżanowski Przemyśl, J. Germański Podwołoczyska, M. Klappholz Rzeszów, J. Obst Tarnów, J. Romanowski Kraków, J. Tabor Rzeszów, Z de Boulangé Gawłówek, K. Lohn Warszawa, S. Naganowski Warszawa, M. Łopatkiewicz, M. Bartmańska i Z. Więckowski Krynica, J. Piękoś Brody, M. Januszówna Przemyśl, G. Hajduk Brzesko M. Roznerska Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *M. Liskowacka, Kraków.* Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

W. P. A. B. Rzeszów: Prosimy i nadal. Niektóre już umieściliśmy, inne w miarę miejsca.

W. P. R. Lak... Lwów: Wysłane pod wskazanym adresem.

WP. W. Z. Kraków, W. M. Rzeszów, J. U. Lwów: Nie nadaje się.

W. P. R. S, Przemyśl: Dziękujemy za pamięć. Wiadomość spóźniona.

Kącik humorystyczny.

W restauracyi kolejowej w Suchej.

— Kelner, ten rozbratel jest taki mały, że go ledwie widać.

— Panie dobrodzieju, pociąg odchodzi za parę minut, nawet by pan nie miał czasu na większy.

Poświęcenie.

— Wiesz Haniu, mój mąż okropnie nie lubi otyłych kobiet; odkąd to wiem, jem codziennie o dwa pierogi mniej...

— Teraz już widzę, że go szalenie kochasz!

Troskliwy właściciel.
(Autentyczne).

Do pokoju pod nrem 8 u Kuliga w Zakopanem, wzywają lekarza dra P..., gdzie rozchorował się ciężko, tamże od kilku tygodni mieszkający lokator.

— Z lokatorem pańskim jest bardzo źle — odzywa się po konsultacyi dr. P... do właściciela Kuliga.

— Panie konsyliarzu, dotrzymaj go pan chociaż do pierwszego sierpnia, żeby mi biedaczysko mógł jeszcze za sierpień czynsz zapłacić.

W sądzie.

Sędzia: Tyś kradł, bo znaleziono przy tobie wytrychy...

Oskarżony: Przepraszam wysokiego trybunału, to pamiątka po moim ojcu, dlatego je zawsze przy sobie noszę...

Modne małżeństwo.

Żona — Kochany mężulku! Wszystko jest uporządkowane: Artur mnie kocha i zgadza się, byśmy się rozwiedli.

Enfat terrible.

— Prawda, że tatuś mamę znał jeszcze przed ślubem?

— O nie, moje dziecko, dopiero po ślubie dokładnie poznałem.

Między przyjaciółkami.

— Mówię ci kochana Józiu, że z moim mężem nie mogę już wytrzymać. Codzień nad ranem wraca do domu pijany.

— To jeszcze dobrze, że sam wraca, bo mojego to zawsze przynoszą.





HENRYK SCHWARZ

Magazyn towarów bławatnych i konfekcyi damskich.

Telefon 43 **Kraków, Grodzka 13** Telefon 43

Adres telegraficzny: HASCHWARZ KRAKÓW. Czek pocztowej Kasy oszcz. Nr. 800.803.

Sprzedaż metrowa

MATERYAŁÓW NA SUKNIE, KOSTYUMY I BLUZKI.

Wełny od Kor. 3 za metr. — Kapelusze, rękawiczki.

Własne pracownie.

W interesie własnego zdrowia powinien każdy żądać wszędzie tylko

TUTEK CYGARETOWYCH

Z FABRYKI RUDOLFA HERLICZKI W KRAKOWIE

Ostrzega się przed licznemi naśladownictwami, które się w ostatnich czasach pojawiły!

Wzory i cenniki wysyła fabryka na żądanie darmo i opłatnie.

B. WIERZEJSKI

Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej

poleca **tanio** w nadzwyczajnym wyborze: **Koszule** kolorowe i białe, **Rękawiczki** z gwarancyą trwałości, **Kapelusze** Przybory do podróży. Jako specyalność: **Krawaty** i **Perfumy**.

Nie sprzedaje nic pruskiego.



Zdzisław Zdanowicz, Kraków

ulica Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Telefon 516.

Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Srebro chińskie i prawdziwe
Przybory kościelne

poleca: **M. JAKUBOWSKI**

Kraków, Sukiennice L. 26–27
(od strony Ratusza).

Cenniki darmo i opłatnie

PERFUMY krajowe francuskie i angielskie

Gąbki, Grzebienie i wszelkie inne artykuły toaletowe

NOWOŚĆ: MYDŁA na wydelikatnienie cery Violettes de Nice »Nr. 810« **karton 3 sztuk** za Koron 2.00.

Mydła kwiatowe o silnym zapachu karton 6 sztuk Kor. 1·00. i za 1 kg. Kor. 2·00.

Mydła przetłuszczone Malinowskiego z Warszawy.

Schampoo-Tarosl do mycia głowy i przeciw łupieżowi.

Kule i kręgle z drzewa Lignum Sanctum

Huśtawki ogrodowe, hamaki i przyrządy gimnastyczne.



Reim i Spółka Kraków

Rynek 37 Linia A. B.

polecają po cenach najtańszych



LAWN TENNIS

RAKIETY, PIŁKI.

Bomerang i Diabolo najnowsza gra i zabawa.

Piłki nożne

Przybory do rybołowstwa.

Przybory podróżne i kąpieowe.

SYFONY i Kapsle SPARKLETS do robienia wody sodowej.



Cenniki darmo i opłat.

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał **Gaston Leroux.**

25 (Ciąg dalszy

— A więc tak! — zawołałem — trzeba z tem skończyć. Jeżeli stary Bob jest wyłączony, książę Galicz i profesor Stangerson, pozostajemy więc tylko my obecni tutaj, a jeżeli Larsan jest między nami, wskaż go nam!

I powtarzałem z wściekłością, gdyż oczy Rouletabille'a wyprowadzały mnie z równowagi:

— Wskaż go nam! Nazwij! Jesteś znowu tak powolny, jak wówczas na rozprawie sądowej!...

— Czyż nie miałem powodów być powolnym? — zapytał obojętnie.

— Chcesz więc, by jeszcze raz uciekł?...

— Nie, przysięgam ci, że teraz już nie ucieknie.

Dlaczego, mówiąc to, patrzył na mnie złowrogo? Czyż naprawdę widział on we mnie Larsana? Poczułem na sobie wzrok Damy w czerni. Patrzyła na mnie z przestrachem.

— Rouletabille! — zawołałem ściśniętym głosem — ty nie sądzisz... ty nie podejrzewasz?...

W chwili tej rozległ się wystrzał, wszyscy zerwali się, przypominając sobie rozkaz, by służba na dole nie wypuszczała nikogo; Rouletabille uspokoił nas jednem zdaniem.

— Jeżeliby strzelali do niego, wszyscy trzej strzelilibyśmy. To był tylko sygnał dla mnie, bym „zaczął“.

I zwrócił się do mnie.

— Powinieneś wiedzieć, że nigdy nikogo nie oskarżam, ani podejrzewam, jeżeli nie wskaże mi go rozumowanie. Larsan jest między nami, odkryje go nam tylko rozumowe dowodzenie. Usiądź spokojnie, gdyż chcę rozpocząć rzeczowe wykazanie możliwości zbytecznej osoby.

Stwierdził jeszcze, że drzwi są dobrze zamknięte na zasówki, potem podszedł do stołu i wziął do ręki cyrkiel.

— Chcę przeprowadzić swój dowód — rzekł — na tem samem miejscu, na którem ukazała się zbyteczna osoba. Będzie on miał przez to większą doniosłość.

Cyrklem zmierzył na rysunku Darzaca koło, mające przedstawiać Wieżę Karola Zuchwałego i drugie tej samej wielkości koło narysował na czystym papierze, rozpiętym na desce rysunkowej, poczem wziął do ręki miseczkę z czerwoną farbą i zapytał Darzaca, czy poznaje ją. Darzac, który również jak i my nic z tego wszystkiego nie rozumiał, odpowiedział, iż istotnie sam tę farbę przyrządził. Połowa tej farby wyschła już na dnie miseczki, druga jej jednak część winna, według zdania Darzaca, dać ten sam ton na papierze, co i poprzednio.

— Nikt się jej nie dotykał — mówił dalej z wielką powagą Rouletabille i jednocześnie umaczał pędzelek w farbie i zaczął z wielką starannością zamalowywać narysowane koło.

Gdy skończył, spojrzał na zegarek i rzekł:

— Widzą panie i panowie, że farba, która pokrywa to koło, nie jest ani rzadsza, ani gęstsza od tej, którą zamalowane jest koło pana Darzaca. Są one oba prawie jednakowego odcienia.

— Istotnie, tak jest — odrzekł Darzac — lecz co to ma oznaczać?

— Zaraz wyjaśnię. W każdym razie to czerwone koło jest pańskiej ręki?

— Tak, byłem nawet bardzo niezadowolony, gdy po wyjściu z Wieży Czworobocznej wszedłem razem z panem do gabinetu starego Boba i znalazłem je zepsute, powalane. Stary Bob zniszczył cały mój rysunek, przewracając na niego swoją czaszkę.

— Tak rzeczywiście było! — potwierdził Rouletabille.

Wziął ze stołu czaszkę i zwracając ją ku Darzacowi powalaną na czerwono szczęką, zapytał:

— Jest więc pan zdania, że czerwona farba na szczęce pochodzi z pańskiego planu?

— Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Gdyśmy weszli do Wieży Karola Zuchwałego, czaszka leżała jeszcze przewrócona na mym planie...

— Jesteśmy więc ciągle jednego zdania! — zauważył Rouletabille.

Przy słowach tych podszedł z czaszką w ręku do stolika, stojącego w zagłębieniu okna, zapalił znajdującą się na nim małą maszynkę spirytusową i zaczął gotować w małym rondelku wodę. Przez cały ten czas nie spuszczamy z niego oczu. Nigdy jeszcze zachowanie się Rouletabille'a nie wydawało się nam tak niezrozumiałe a zarazem stanowcze i groźne. Im więcej dawał wyjaśnień, tem mniej go pojmowaliśmy. I przejęci byliśmy wszyscy lękiem, gdyż czuliśmy, że ktoś koło nas boi się, boi się więcej od nas. Ktoż to jest?

Woda jednak zagrzała się już i Rouletabille podszedł znowu do nas i zaczął ścierać serwetką farbę ze szczęki. Dokonał tego prędko. Dał nam sprawdzić, że czaszka jest czysta. Potem siadł w milczeniu przed swym rysunkiem i prosił, byśmy również zachowali ciszę. Trwało to dziesięć minut, potem nagle chwycił czaszkę i przewracał ją kilka razy po swym rysunku. W zdumieniu spoglądaliśmy na niego, lecz on z najobojętniejszą miną wyjął znowu zegarek i poprosił, byśmy stwierdzili, że na czaszce niema czerwonych plam.

— Malowidło na rysunku jest suche — rzekł. — Wyschło ono w przeciągu kwadransa. Jedenastego, bieżącego miesiąca, widzieliśmy jak pan Darzac wchodził o godzinie piątej do Wieży Czworobocznej. Następnie po wejściu do tej wieży i po zamknięciu za sobą drzwi na zasówki, o czem sam nam mówił, pan Darzac nie wychodził ze swego pokoju wcale, aż dopiero gdyśmy przyszli po niego po szóstej godzinie. Co zaś do starego Boba, to widzieliśmy sami, że wchodził do Wieży Karola Zuchwałego z czaszką w ręku o szóstej godzinie!

„W jakiż sposób malowidło to, które wysycha w przeciągu kwadransa, było w dniu tym, w godzinę po zostawieniu go przez pana Darzaca, na tyle jeszcze mokre, iż powalało czaszkę, którą stary Bob po swem wejściu do Wieży Karola Zuchwałego rzucił w gniewie na ten rysunek? Jest tylko jedno na to tłómaczenie, a mianowicie, iż pan Darzac, który wszedł do Wieży Czworobocznej o piątej godzinie i którego nikt nie widział wychodzącego, nie jest tym samym Darzacem, który malował w Wieży Karola Zuchwałego na kika minut przed powrotem starego Boba o godzinie szóstej, a którego zastaliśmy w pokoju w Wieży Czworobocznej, nie widząc poprzednio, by tam wchodził i z którym myśmy wyszli... Jednem słowem: nie jest tym samym Darzacem, którego widzimy przy stole! Rozum więc nam wskazuje, iż mamy dwie postacie pana Darzaca!“

I Rouletabille spojrzał na Darzaca.

On jak i my wszyscy, znajdowaliśmy się ciągle pod wrażeniem rozumowania młodego reportera. Wszyscy doznawaliśmy i jakiegoś nowego lęku i czuliśmy zarazem wielki podziw. Jak wszystko to, co mówił Rouletabille było jasnem! jasnem i strasznem!

Darzac zawołał:

— Ach, to więc on w ten sposób mógł dostać się do Wieży Czworobocznej, zapewne w mojem przebraniu wszedł do środka i ukrył się w szafie tak, iż gdy ja potem przyszedłem po wyjściu z Wieży Karola Zuchwałego, wcale go nie dojrzałem. Lecz dlaczego otworzył mu ojciec Bernier?...

— Rzecz bardzo prosta — odparł Rouletabille, który wziął w swe ręce dłonie Damy w czerni, jakby chciał dodać jej odwagi — sądził, że to jest pan!

— Teraz rozumiem, dlaczego, podchodząc do drzwi, zastałem je zamknięte na klucz. Ojciec Bernier myślał, że jestem u siebie.

— Zupełnie słusznie! przyznał Rouletabille. Ojciec Bernier, gdy otworzył drzwi pierwszej postaci Darzaca, nie zajmował się już drugą, zwłaszcza, że jak inny, wcale jej nie widział. Pan musiał wchodzić do Wieży Czworobocznej wówczas, gdy Bernier stał na murze razem z nami i wskazywał nam księcia Galicza i panią Edytę, rozmawiającą z starym Bobem..

— Lecz w takim razie, dlaczego matka Bernier, która była w swem mieszkaniu, nie zdziwiła się pojawieniem drugiej mojej postaci, jeżeli pierwsza jeszcze nie wychodziła?

— Niech pan sobie wyobrazi — odpowiedział ze smutnym uśmiechem młody reporter, że właśnie w chwili tej matka Bernier zbierała kartofle, które poprzednio wysypałem jej z worka.

— Mogę więc sobie powinszować, że znajduję się jeszcze na świecie!...

— Istotnie, niech pan sobie powinszuje, jest czego!...

— Ach, gdy pomyślę tylko, że po wejściu do siebie zamknąłem zaraz za sobą drzwi na zasówki, jak już o tem wspomniałem i zasiadłem do pracy, a ten bandyta znajdował się za memi plecami! Ah! przecież on mnie mógł zabić!

Rouletabille zwrócił się do Darzaca i zapytał, patrząc mu prosto w oczy:

— Dlaczego on tego nie uczynił?

— Sam pan wie, że oczekiwał kogoś.

I Darzac podszedł ku Damie w czerni, gdy młody reporter mówił dalej swym jasnym i śmiałym głosem:

— Panie Darzac, muszę panu uczynić pewne wyznanie. Gdy zrozumiałem, w jaki sposób znalazła się w pokoju „osoba zbyteczna“ i gdym stwierdził, że pan nie czyni nic, by wyprowadzić nas z błędu co do piątej godziny, o której, jak wszyscy sądzili, z wyjątkiem mnie, miał pan wejść do Wieży Czworobocznej, poczułem się w prawie podejrzywać, że bandytą nie jest ten, który istotnie wszedł o piątej godzinie pod przebraniem Darzaca do Wieży Czworobocznej! Sądzę nawet, że tamten Darzac mógł być prawdziwym Darzacem, a fałszywym jest pan! Ach! drogi panie Darzac, jak ja pana podejrzywałem!...

— Ależ to szaleństwo! zawołał Darzac. Jeżeli nie powiedziałem dokładnej godziny, o której weszdłem do Wieży Czworobocznej, to tylko dlatego, iż

nie pamiętałem i nie przykładałem do tego żadnej wagi!

Rouletabille jednak, nie zważając ani na to tłómaczenie, ani na wzruszenie Damy w czerni, ani na nasz przestrach, mówił dalej:

— W ten sposób prawdziwy Darzac, który przybył z poza fortu, by zająć miejsce, które mu pan skradł — w mojej wyobraźni tylko, niech się pan uspokoi, tylko w mojej wyobraźni!... — byłby teraz ubezwładniony i nie mógłby szkodzić pańskiemu śmiałemu poświęceniu! Jednem słowem, jeżeli pan jest Larsanem, to człowiek wyniesiony w worku jest prawdziwym Darzakiem!... Ah! jaką ja miałem imaginacyę!... Co za niesłychane podejrzenie!...

— Co robić? odpowiedział głucho mąż Matyldy... Wszyscy tutaj jesteśmy podejrzani!...

Rouletabille odwrócił się plecami do Darzaca i rzekł uspakajająco do Damy w czerni, która była już bliska omdlenia:

— Jeszcze trochę odwagi!

Po chwilowem milczeniu, mówił dalej swobodnym i zimnym tonem:

— Mamy więc dwa objawienia pana Darzaca... By wiedzieć, które jest prawdziwem, a które ukrywa Larsana, obowiązkiem moim jest zbadać bez lęku i skrupułów, zupełnie bezstronnie te dwa objawienia. I zacząłem od pana.

Darzac odpowiedział Rouletabille'owi:

— Po co to, jeżeli pan mnie nie podejrzywa! Niech pan powie zaraz, kto jest Larsanem!... Chcę tego! Żądam tego!...

— Wszyscy tego pragniemy i to natychmiast! — zawołaliśmy razem, otaczając ich dwóch.

Matylda podbiegła do swego dziecka i zasłoniła je sobą, jakby mu co groziło. Scena ta już za długo trwała i przerażała nas.

— Jeżeli wie, niech powie!... Niech skończy już! — zawołał Artur Rance.

Nagle rozbrzmiał nowy strzał, który tak nas przejął, iż gniew nas opuścił i zaczęliśmy prosić Rouletabille'a, by skończył jak najprędzej tę inkwizycyę.

Po tym wystrzale twarz Rouletabille'a zmieniła się odrazu. Jakaś dzika energia wyraziła się w jego postaci. Oparł się plecami o drzwi, skrzyżował ręce i rzekł:

— W takiej sprawie jak ta, nie można nic lekceważyć. Dwie postacie Darzaca wchodzące i dwie wychodzące, z tych jedna w worku. Jest nad czem zastanowić się! Nie chciałbym teraz jeszcze zrobić głupstwa!... Niech mi pan Darzac tu obecny wybaczy, lecz miałem wiele powodów do podejrzewania go!...

Pomyślałem: „Jaka szkoda, żem mu nie mówił o odkryciu Australii, uniknęłoby się tego wszystkiego“.

Darzac stanął przed reporterem i pytał ze wzrastającą wściekłością:

— Jakie powody?... Jakie powody?...

— Zaraz mnie pan zrozumie — odparł Rouletabille spokojnie. — Gdy badałem warunki dwojga objawień pańskiej postaci, rzekłem sobie: „Ba! Jeżeli byłby to Larsan, córka profesora Stangersona spostrzegłaby to“. Czyż nie tak?... I rzeczywiście! Przyglądając się zachowaniu pani Darzac, nabrałem pewności, że ona przez cały czas podejrzywa w panu Larsana!

Matylda zerwała się z krzesła, by zaprotestować, Darzac zaś z twarzą zmęczoną cierpieniem siadł i pytał półgłosem:

— Czyż możebne, byś myślała to, Matyldo?...

Matylda opuściła głowę i nic nie rzekła.

Rouletabille z jakiemś okrucieństwem mówił dalej:

— Gdy przypominam sobie wszystkie ruchy pani Darzac od powrotu pana z San Remo, widzę teraz w nich wyrażenie strachu i ciągłego smutku... Ach, niech mi pan pozwoli mówić... muszę się wytłomaczyć... Nic nienaturalnego nie było w zachowaniu się panny Stangerson, ciągłą w sobie toczyła walkę z własnemi myślami i przeczuciami... Pan może teraz zrozumieć ten chłód, z jakim pana traktowała i wahania jej i wyrzuty sumienia, które skłaniały ją do otaczania nieraz pana niespodzianą czułością!... Nieraz spostrzegałem i w panu pewną ponurość, która doprowadzała mnie na domysł, że pan boi się, czy nie odkryła już w panu Larsana!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. Abrahamer, Podgórze.

Gdy skaleczysz swoje ciało,
Druga czwarta bardzo boli,
Gdyby ci się zaś zachciało
Zaniedbać ją ze swawoli,
Łatwo śmierć zaskoczyć może.
Z nią się nie powiodą żarty,
Chroń każdego od niej Boże.
Pierwsze trzy, początek czwartej
Jest to wóz dobrze wam znany,
Widok jego ludzi smuci,
Bo kto na nim raz wyjedzie,
Ten już nigdy nie powróci.
Pijesz często pierwsze trzecie,
A ponieważ rzecz nie droga,
W każdym domu ją zna dziecie.
Pierwsza druga czasem sroga
Czasem zaś łagodną bywa,
Zależnie, jak kto zawini.
Jakże całość się nazywa,
Którą widzisz na pustyni.

Arytmograf.

Ułożyła M. M. Urbańska, Kraków.

Cyfry zastąpić literami. Środkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą tytuł ulubionej obecnie operetki Straussa.

1
2 3 4
5 6 4 7 4
8 9 10 11 4
7 4 7 9 10
12 10 4 11 4
7 2 13 14 15
15 9 16
4

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię żeńskie. 3. Miasto w Królestwie Polskiem. 4. Imię żeńskie (bardzo popularne u Niemców). 5. Miejscowość pod Warszawą. 6. Przegroda i ochrona z żelaza. 7. Miasto na Litwie 8. Wykrzyknik. 9. Samogłoska.

Łamigłówka historyczna.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Wymienić miejsca bitw lub ważne wypadki i czyny, jakie łączą się z nazwiskami:

1. Epaminondas.
2. Karol V., cesarz niemiecki.
3. Pyrrhus.
4. Ferdynand II., cesarz niemiecki.
5. Breindl.
6. Zygmunt August.
7. Jerzy Lubomirski.
8. Görgey.
9. Henryk IV., król francuski.
10. Nelson.
11. Jan III. Sobieski.

Początkowe litery wynalezionych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą nazwę jednego z przywilejów szlachty polskiej, który był główną przyczyną upadku Polski.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Podgórze.

Całości głowa
Po szynkach jest wszędzie,
A druga połowa,
Związkiem zaś państw będzie,
A rzecz cała,
To kraina mała.

Zagadka.

Ułożył A. B. Rzeszów.

Jestem przysłówkiem często używanym,
Czy wprost, czy wspak, jednako czytanym.

Szarada.

Ułożył J. Abrahamer, Podgórze.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem poniżej znaczeniu. Środkowe głoski, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko jednej ze stolic europejskich.

□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□ —
— □ —
— □ — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miara czasu. 3. Pałac (z tureckiego). 4. Owad. 5. Spółgłoska. 6. Ptak. 7. Owoc południowy. 8. Japoński polityk. 9. Samogłoska. 10. Rzeka w Austryi. 11. Jarzyna. 12. Żołnierz techniczny. 13. Część doby. 14. Spółgłoska.

Łamigłówka.

Ułożył A. B. Rzeszów.

W miejsce kresek wstawić litery, które wypełnią wyrazy mające pewne znaczenie. Litery te, czytane z góry na dół, dadzą imię jednego z najsławniejszych wodzów ludzkości.

— ora
— rka
— ara
— lga
— ina
— mil
— ręż
— iwa.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższyzh zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *T. T. Jeża* „Wasyl Hołub“, powieść.